W NUMERZE: Nim wybuchło czerwone powstanie w 1905 r. w Łodzi ■ Szlakiem Kmicica ■ Lepiej mylić się, niż hamować postęp ■ Kryształowy wazon ■ Rozmowy o kulturze ■ Recenzje ■ Felietony ■ Magazynek

Łódź
tygodnik społeczno-kulturalny
odgłosy

NR 24 (1175) ROK XXIII 17 CZERWCA 1980 R. CENA 3 ZŁ

NIEDZIELA W MUZEUM

Fot. R. Łucyszyn

Tym razem tradycyjna „Niedziela w Muzeum Sztuki" miała niecodzienną atrakcję. Połączono ją z otwarciem wielkiej wystawy, zawierającej 347 grafik Pabla Picassa. Wernisaż ściągnął tłumy.

Dzieci, jako że wystawa raczej się dla nich nie nadaje, miały tymczasem swoje zajęcia — zabawy rozwijające wyobraźnię, konkurs na plakat.

Kolejki ustawiały się do Stanisława Ibisa-Gratkowskiego, który rysował karykatury, szybko znikały ze stoisk plakaty i katalogi wystaw, a także wyroby „Cepelii". Czegóż tam jeszcze nie było... Niech żałuje ten, kto nie trafił w ostatnią niedzielę do gmachu przy ul. Więckowskiego.

WACŁAW OPACKI

PAPIER I FABRYKA, KTÓRYCH JESZCZE NIE MA

Przy rozwiązywaniu problemu papierowego trzeba brać pod uwagę wszystkie istniejące możliwości, a przede wszystkim rezerwy tkwiące w oszczędnej gospodarce tym surowcem. Gospodarka papierem wymaga zmian, i to radykalnych. Zmian w zasadach dystrybucji i rygorystycznej reglamentacji. Rezerwy tkwią na przykład w zbytnio rozbudowywanej sprawozdawczości — wbrew zakazom GUS — gdzie papier jest przede wszystkim pożytkowany. A więc nie tam, gdzie powinien. Wybujała papierkomania króluje na różnych szczeblach administracji, w nauce, gastronomii, organizacjach, stowarzyszeniach — pochłaniając rocznie 170 tys. ton papieru, czyli tyle co zużywamy na książki i prasę. Zalewowi papierków stara się wprawdzie przeciwdziałać Komisja Racjonalizacji Druków przy prezesie Polskiego Komitetu Normalizacji i Miar, weryfikująca przydatność i rozmiary formularzy, ale najbardziej efektywne wyniki (wymierne w liczbach) jej działalności na nic się zdadzą. Tu bowiem trzeba zmiany mentalności tych, którzy wykorzystują papier w nadmiernej ilości i nie tam, gdzie go potrzeba.

Czytaj str. 3

JACEK INDELAK

ŁÓDŹ JAZZU PEŁNA

„Każdy szanujący się snob chodzi na koncerty jazzowe" — taki transparent zawisł na jednym z łódzkich domów akademickich podczas ostatnich juwenaliów, które zbiegły się z pierwszymi imprezami V Festiwalu Polskiej Muzyki Jazzowej „Łódzkie Spotkania Jazzowe'80".

— *W dalekich Alpach kondor jajo zniósł, jedno zniósł, drugie zniósł, a potem zdechł, och, co za pech!* — śpiewają studenci na melodię „El condor pasa" w przerwie między koncertami, odbywającymi się na zaimprowizowanej estradzie pod gołym niebem wewnątrz studenckiego osiedla im. ZWM przy ul. Lumumby. I nie wiem, czy jest to aluzja pod adresem organizatora festiwalu: Łódzkiego Klubu Jazzowego Stowarzyszenia Muzyki Estradowej. Pewnie jednak nie, bo na oceny za wcześnie. Spotkania ledwie się zaczynają: przed nami jeszcze ponad 20 koncertów z udziałem przeszło 20 zespołów. Kilkadziesiąt godzin muzyki. Jakiej? To się okaże.

1.

Pogodne sobotnie zmierzchanie na „Lumumbowie". Po wyłożonym trylinką placyku i rozległych trawnikach snują się przebierańcy: w „rzymskich" togach i „greckich" chitonach, w sukmanach i kontuszach, w sukienkach koleżanek i koszulach kolegów. Karmin na licach i kociokwik w oczach. Zakinada ma swoje przywileje, ale i uciążliwości. Wiele na ten temat mogłaby powiedzieć zgarbiona staruszka, która „przeczesuje" teren z kolejną już siatką pełną pustych butelek.

Na plac wylega coraz więcej studentów, którzy okrążają estradę. Do występu szykuje się właśnie łódzka — studencka zresztą — grupa Ignacego Baumberga. Pierwsze już jednak utwory pozbawiają złudzeń: chłopcy wycinają rocka, akompaniując do tańca.

— *Słuchaj, stary!* mówi do kolegi jeden ze studentów. — *Żałuj, że nie byłeś tutaj wczoraj. „Hagaw" katował faaantastycznie! To jest jazz! Jutro grają na Widzewie. Pójdziemy?*

Jest już jutro: niedziela. Słoneczna pogoda zwabiła wielu mieszkańców starego Widzewa do parku, którego alejki zaczynają wczesnym popołudniem pustoszeć. Ponad zgrabną niecką widzewskiego amfiteatru niosą się bowiem rytmiczne dźwięki. Dixielandowy hałas ściąga coraz większą liczbę słuchaczy. Przypadkowych, jak przypadkowe jest to spotkanie z jazzem.

Gra „Asocjacja Hagaw". Jak zawsze znakomicie, z szacunkiem dla publiczności, chociaż ten ziewa, ów gada, inny ma zdziwioną minę. Chociaż tu babcia łaje wnuczka, tam nastolatki odbijają „jabłcoka", a gdzie indziej paczka znajomych skrzykuje się na wieczorny „ubaw". Wszystkim jednak przestaje się spieszyć, coraz gęściej ławki pozajmowane, a nogi podreptują w takt i do braw układają się dłonie.

„Hagaw" — po licznych zmianach — niby całkiem nowy, ciągle jednak trąbka Piwowarskiego, tenor Sadowskiego, klarnet Jonaka i niestrudzone pomrukiwanie saksofonu barytonowego Halika.

— *Wiesz, Marychna, bardzo mi się ta orkiestra podoba!* — mówi do

Dalszy ciąg na str. 6

WSTĘP DO REWOLUCJI

Lucjan Bogusz

NIM NASTAŁ TAKI DZIEŃ...

Strajki, walka z policją i wojskiem trwała w Łodzi już przeszło pół roku. Zaczęło się to wszystko w styczniu, nasilało się i słabło, ale trwało nieprzerwanie przez wszystkie miesiące 1905 roku aż do czerwca. Do walki stawali wszyscy.

„A wzburzenie wśród ludności jest tak wielkie, że manifestują nawet dzieciaki — donosiło z Łodzi pismo SDKPiL „Z pola walki" — **oto 27 maja na ul. Wschodniej garstka dzieciaków, 20 do 30 chłopaków Żydów, manifestowało z „czerwonym sztandarem" w ręku. Policjant kazał żołnierzowi, idącemu z nim, strzelać do dzieciaków — żołnierz jednak odmówił; policjant dał parę strzałów sam z rewolweru, zabił jednego, dwóch ranił. Pogrzeb bohaterskiego kilkunastoletniego rewolucjonisty zgromadził następnego dnia przeszło 5 tysięcy robotników Żydów i Polaków."**

Dalszy ciąg na str. 10

Prenumerujcie wszystkich kwartałów Zamówcie się!
GŁOS ROBOTNICZY
Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

ROZMOWA Z REDAKTOREM NACZELNYM „GŁOSU ROBOTNICZEGO" JANEM PAKUŁĄ

„GŁOS ROBOTNICZY" już 35 lat nam towarzyszy, informuje, relacjonuje, opisuje. Zaczął wychodzić w Łodzi najpierw jako pismo Polskiej Partii Robotniczej, później był organem Komitetu Wojewódzkiego i Komitetu Łódzkiego PZPR, dziś jest pismem codziennym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wychodzącym na cztery województwa: łódzkie miejskie, piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie.

— 35 lat w dziejach jednej gazety to dużo czy mało? Co sądzą o tym ci, którzy tę gazetę dziś robią na co dzień?

— To bardzo dużo. „Głos Robotniczy" zaczął ukazywać się w Łodzi 20 czerwca 1945 roku. Był pismem PPR, a więc siłą rzeczy nie tylko wyrażał politykę partii, ale podlegał takim samym zmianom i przeobrażeniom, jakim ta polityka podlegała, jakim podlegało budownictwo socjalizmu w Polsce.

— Dzieje 35 lat Łodzi i województwa łódzkiego dawniej, a dziś czterech województw zostały zapisane na przeszło 11 tysiącach numerów gazety. To ogromny materiał historyczny.

— Właśnie dlatego uważam, że dla gazety 35 lat to ogromny szmat czasu. Zaczął „Głos Robotniczy" wychodzić w kilka tygodni po zakończeniu II wojny światowej, kiedy w kraju toczyła się walka ze zbrojnym podziemiem reakcyjnym. Na pierwszej stronie gazety ukazywały się nekrologi tych, którzy w tej walce polegli. Później dochodzą wiadomości o tych, którzy odpowiadają na wezwanie władz i jadą na Ziemie Odzyskane. Wiadomości o rozwijającym się Wyścigu Pracy, postępach odbudowy kraju, dokonujących się przemianach zapełniają wtedy łamy gazety. To był bardzo dynamiczny okres w historii naszego kraju, znajduje to odbicie w gazecie.

Dalszy ciąg str. 4—5

KRONIKA KULTURALNA

4 CZERWCA jury VIII Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie, obradujące pod przewodnictwem kustosza działu sztuki nowoczesnej Tate Gallery w Londynie, **Ronalda Alleya**, ogłosiło werdykt. Grand Prix przyznano **Albinowi Brunowskiemu** z Czechosłowacji. Drugą nagrodę otrzymali: **Ryszard Otręba** z Polski i **Jose Ciuba** z Jugosławii. Trzecimi nagrodami wyróżniono **Tadeusza Nuckowskiego** z Polski, **Josefa Jankowicia** z Czechosłowacji i **Hiroshi Asadę** z Japonii. Czwarte nagrody przyznano **Kunito Nagoce** z Japonii, **Igorowi Makarewiczowi** i **Leszkowi Rózdze** z Polski, **Markowi Schamingowi** z USA oraz **Akiro Matsumuto** z Japonii.

PRZED KILKOMA DNIAMI w Sieradzu oceniono eksponaty zgłoszone na konkurs pt. **„Ludowe i artystyczne rękodzieło wsi"**. Jury pod przewodnictwem **Czesława Rutkowskiego** z RBS „Cepelia" w Łodzi przyznało drugą nagrodę **Marianowi Jarzynie**, a dwie trzecie nagrody — **Bogusławie Bator** i **Ewie Wierzbickiej**.

W OPOCZNIE, 8 czerwca odbyła się sesja naukowa poświęcona ochronie zabytków etnograficznych. Organizatorami sesji było Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Oddział w Łodzi, Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury, Oddział w Opocznie, Muzeum Regionalne, Miejski Dom Kultury i Towarzystwo Przyjaciół Opoczna.

DNI SOCHACZEWA trwały od 6 do 8 czerwca. Program obchodów był imponujący. 6 czerwca otwarto wystawę dorobku sochaczewskich plastyków-amatorów. Odbył się koncert uczniów szkoły muzycznej, nastąpiło także rozstrzygnięcie konkursu „Moja matka i moje miasto". Odbyło się również sympozjum nt. „Zabytki Sochaczewa i ich odnowa".

Z OGROMNĄ PRZYJEMNOŚCIĄ odnotowujemy sukces, jaki odniosła młodziutka łodzianka, **Inga WŁODAREK**, na ogólnopolskim konkursie plastycznym „Piękno mojego regionu". Konkurs zorganizowany został w Warszawie przez ZG PTTK i CZSBM i wzięło w nim udział 686 prac dzieci z całej Polski. Inga Włodarek uczęszcza na zajęcia do pracowni plastycznej DK ZPB im. Szymona Harnama — „Osiedla Pojezierska", która prowadzona jest przez panią **Joannę Wajnikonis-Jakubowską**.

W OŚRODKU PROPAGANDY SZTUKI w parku im. H. Sienkiewicza, w poniedziałek, 9 czerwca odbył się pokaz prac **Jerzego Trelińskiego**.

W GALERII „CHIMERA", Wólczańska 31/33, 11 czerwca otwarto wystawę grafiki **Jolanty Ciesielskiej** i **Barbary Rosiak**. 12 czerwca natomiast otwarto tam wystawę grafik **Stanisława Dawskiego**.

W SALONIE SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ, Piotrkowska 86/88, 3 czerwca otwarto wystawę malarstwa Mariana Kędzińskiego. Wystawa zorganizowana została w ramach cyklu prezentującego tendencje nadrealne i metaforyczne w polskiej sztuce współczesnej.

W MUZEUM ARCHEOLOGICZNYM I ETNOGRAFICZNYM 10 czerwca otwarto dwie wystawy: „Moda pradziejowa Europy" i „Pierwsi rolnicy".

JURY Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego o nagrodę „Czółenka Tkackiego" przyznało następujące nagrody: w dziale poezji I nagrodę zdobył **Piotr Rakowski** (Kraków), drugą — **Stanisław Filipowicz** (Dzierzgoń), dwie III — **Stanisław Urbański** i **Juliusz Jenczelewski**. Wyróżnienie m.in. otrzymała **Alicja Stelmak-Roll** z Łodzi. W dziale prozy I nagrodę zdobyła **Maria Helena Zaród** (Gliwice), II nagrodę — **Adam Waldemar Woźniak** (Gliwice), dwie III nagrody — **Aleksander Migo** i **Krzysztof Ostaszewski**. Wyróżnienie otrzymał m.in. **Józef Bogdan Paszkiewicz** z Łodzi. W dziale reportażu wyróżnienie zdobyli: **Franciszek Czekierda** i **Antoni Rydlewski**. Organizatorami konkursu były Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex", Zarząd Łódzki ZSMP — Klub Młodych Pisarzy „Wiadukt" przy współudziale ZG ZZPPWOiS i tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy".

W PIASTOWIE, w piwnicy jednego z domów, znaleziono nieznane listy **Stefana Żeromskiego** i jego pierwszej żony, Oktawii. Listy te znalazca przyniósł do redakcji „Expressu Wieczornego". Redakcja zainteresowała nimi dr **Jerzego Kądzielę**, autora książki „Młodość Stefana Żeromskiego".

Odnalezione listy Stefana Żeromskiego i jego pierwszej żony, Oktawii wnoszą nieznane szczegóły do historii życia i twórczości autora „Syzyfowych prac". W liście do Ignacego Domagalskiego z października 1894 roku Stefan Żeromski pisze, że w sprawach wzbogacenia pokoju Mickiewicza w Rapperswilu zwracał się do historyka literatury, autora studiów o życiu i twórczości Adama Mickiewicza, Henryka Biegeleisena oraz do innego wybitnego historyka literatury, Piotra Chmielowskiego. O czym do tej pory nie było wiadomo.

DLA TELEWIZJI POLSKIEJ przygotowuje się siedmioodcinkowy serial filmowy pt. „Dom". Akcja serialu zaczyna się w 1945 roku w Warszawie i doprowadzona jest do 1953 roku. Scenariusz do filmu napisali **Jerzy Janicki** i **Andrzej Mularczyk**. Reżyseruje **Jan Łomnicki**. Zdjęcia — **Bogusław Lambach**, scenografia — **Adam Nowakowski**, kierownictwo produkcji — **Jeremi Maruszewski**.

W RADOMIU w tym miesiącu rozpoczynają się uroczystości związane z 450 rocznicą urodzin **Jana Kochanowskiego**. Od dwóch lat działa już Wojewódzki Komitet Obchodów, którego przewodniczącą jest mgr **Krystyna Firmanty**. Komitet ogłosił różne konkursy i zajął się organizacją wielu imprez związanych z planem uczczenia 450 rocznicy urodzin Jana Kochanowskiego. Rozstrzygnięto konkurs poetycki „O laur Jana z Czarnolasu", a nadesłane i nagrodzone utwory złożą się na interesującą książkę. Rozstrzygnięto również konkurs plastyczny „Jan Kochanowski i jego epoka". Wyniki tego konkursu można oglądać na wystawie w Archiwum Państwowym w Radomiu. 203 prace wpłynęły na konkurs „Życie i twórczość Jana Kochanowskiego w rzeźbie, malarstwie ludowym na szkle". Odbyła się też sesja naukowa poświęcona życiu i twórczości Jana Kochanowskiego. Dobiega końca remont dworku czarnolaskiego, gdzie będzie otwarte muzeum Jana Kochanowskiego.

ORKIESTRA dęta i zespół „Fresk" z Zakładowego Domu Kultury „Pamotexu" w Pabianicach zaproszony został już po raz drugi do Weimaru w NRD na doroczny festyn tamtejszego Kombinatu Maszyn Rolniczych.

Udałyśmy się, moja dziewięcioletnia córka i ja, na dziecięcą premierę baletu Piotra Czajkowskiego „Dziadek do orzechów" w Teatrze Wielkim, daną z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka. Niełatwo było o bilety. Szczęśliwie zdobyśmy je i oto 31 maja wmieszałyśmy się w tłum odświętnie wystrojonych dzieci. Widać było, że zachwycał sam gmach Teatru Wielkiego, jakże wspaniały i ogromny. A kiedy po uwerturze kurtyna poszła w górę i na scenę w wigilijny wieczór zaczął padać Kilianowy śnieg, nawet moje stare ręce złożyły się do oklasków.

CZAJKOWSKI W BIG — BEACIE

Pierwsza przerwa. Wychodzimy oczarowane muzyką, jakimś innym od zwykłego krokiem, z oczami pełnymi kolorów, w wyobraźni jeszcze zapatrzone w scenę. Nagle oślepia nas białe światło i uderza zgoła nie teatralny zgiełk. Brutalnie przywrócone do rzeczywistości rozglądamy się, co się dzieje. Na środku palarni ustawiono podium. Panowie z ZOO prezentują tam dopiero co urodzone zwierzątka, podobnie zadziwione i przerażone jak dzieci, które przyszły do opery.

Zwierzątka, zwłaszcza małe, należą jeszcze do bezkonfliktowego, czystego i dobrego świata dzieci, zatem drugi akt baletu możemy obejrzeć ze skupieniem. Kto zna „Dziadka do orzechów", wie, jak wiele tam bajecznych rzeczy, od bitwy z wojskami Króla Myszy, do przeistoczenia się w przepiękną księżniczkę małej dziewczynki Klary — bohaterki, z którą wedle prawideł psychologii powinni utożsamiać się widzowie. Ale już i druga przerwa. Jak obuchem w głowę wali nas zza węgła big-beat. Tym razem na podium w palarni Dom Handlowy „Central" pokazuje rewię mody. Inni panowie, z większym lub mniejszym powodzeniem przekrzykując „mocne uderzenie" z głośników, natarczywie zachęcają do kupna. Im bardziej rośnie ich euforia, tym tłumniej dzieci — jedyne istoty, które w tym harmiderze zachowały odrobinę zdrowego rozsądku — uciekają do bufetu. Rodzice posłusznie postępują za dziećmi.

Czajkowski umarł.

* * *

Czy mamy prawo pozostawić bez komentarzy krzywdę, jaką — tuszę, w dobrej wierze — wyrządzono dzieciom w przeddzień ich święta w Teatrze Wielkim w Łodzi?

Jest sprawą zespołu i kierownictwa Teatru Wielkiego, czy pozwala lub nie pozwala marnować efekty swojej pracy. Czyją sprawą jest bronić dzieci przed tym, aby dając — nie zabierano im równocześnie tego, co — być może — okazałoby się najcenniejsze?

Że uczestnictwa w kulturze należy uczyć — to truizm, o którym zdawałoby się, nie wypada przypominać. Nasuwa się jednak jeszcze inna refleksja. Dążymy w wychowaniu do tego, żeby człowiek stawał się bliski człowiekowi. Począwszy od przedszkola służą temu celowi wszelkie formy kolektywnej zabawy. Potem, w szkole, obok nauki pojawiają się nowe zajęcia kolektywne, wkracza organizacja zuchowa i harcerstwo. Ale ciągle brakuje czegoś, co zbliża do siebie ludzi w sposób zapewne najsilniejszy: przeżyć, które będąc przeżyciami zbiorowymi, byłyby zarazem zupełnie bezinteresowne.

Takie przeżycia daje, jak wiadomo, wspólna recepcja dzieł sztuki. Pierwsze miejsce zajmuje tutaj teatr, żywy jak żywi są widzowie, którzy jego dzieło odbierają. 31 maja br. czyjaś nadgorliwość zabiła zarówno przyjemność estetyczną u tych, którzy może po raz pierwszy przyszli do teatru, jak zdusiła szansę nawiązania szlachetnej, bezinteresownej bliskości między człowiekiem i człowiekiem.

JOLANTA MACH

W CZAS JUBILEUSZU MARIANA PIECHALA

W sierpniu br. Marian Piechal obchodzić będzie 75-lecie urodzin. Wybitny poeta i eseista przez wiele lat związany był z Łodzią, potwierdzając te związki własną twórczością (np. poemat „Ogień i popiół"), a także działalnością społeczno-kulturalną, jako długoletni prezes Oddziału ZLP, kierownik literacki łódzkich scen, redaktor i publicysta periodyków: „Osnowa", „Kronika", jeden z ówczesnych animatorów życia kulturalnego.

Potwierdzeniem aktualności obustronnych i serdecznych związków Poety z jego miastem, była w dniu 3 czerwca impreza pn. „W czas jubileuszu", zorganizowana staraniem ZO ZLP, Wydziału Kultury UMŁ, Biblioteki Miejskiej im. L. Waryńskiego, Towarzystwa Przyjaciół Łodzi i Towarzystwa Przyjaciół Książki. W spotkaniu wzięli liczny udział pisarze, bibliotekarze, przyjaciele i czytelnicy, a także przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych Łodzi z kierownikiem Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KŁ PZPR, Józefem Olbrykiem.

O twórczości Mariana Piechala mówili krytycy z Uniwersytetu Łódzkiego: dr Jerzy Poradecki („Koncepcja poezji jako „miary ostatecznej") oraz dr Ziemowit Skibiński („Twórczość Mariana Piechala na tle współczesnej poezji"). Dopełnieniem interesujących referatów była wystawa książek M. Piechala, prezentująca przeszło 50-letni dorobek twórczy autora „Wiatru od Wisły".

Dziękując za życzenia i kwiaty Marian Piechal mówił o swojej drodze poetyckiej, swoim rozumieniu istoty poezji i jej funkcji społecznej, podkreślił wpływy robotniczego rodowodu na swą twórczość i roli inspiracji, jaką w jego biografii odegrała Łódź i jej tradycje.

(J W)

POLONICA KULTURALNE

W ZSRR ukazała się praca L. Urazowej pt. „Polscy artyści realiści"; książka ukazuje sylwetki współczesnych malarzy, grafików i rzeźbiarzy z różnych ośrodków Polski, zawiera też reprodukcje najwybitniejszych dzieł.

* * *

W Nowym Jorku odbyło się światowe prawykonanie najnowszego dzieła Krzysztofa Pendereckiego — II Symfonii, której podtytuł brzmi „Symfonia na Boże Narodzenie"; orkiestrą Filharmonii Nowojorskiej dyrygował Zubin Mehta.

Najnowszy numer wydawanego przez Akademię Sztuk NRD dwumiesięcznika „Sinn und Form" prawie w całości jest poświęcony prezentacji dorobku polskich pisarzy: Jarosława Iwaszkiewicza, Haliny Auderskiej, Andrzeja Kuśniewicza, Wojciecha Żukrowskiego i in.

* * *

W Duesseldorfie trwa wystawa 80 prac Władysława Strzemińskiego, której poświęca wiele uwagi miejscowa prasa; nadal wielkim zainteresowaniem cieszy się też w RFN objazdowa ekspozycja dzieł Jacka Malczewskiego.

* * *

W Meksyku ukazała się w przekładzie na język hiszpański „Wojna futbolowa" Ryszarda Kapuścińskiego; zapowiadane jest w najbliższym czasie hiszpańskie wydanie „Cesarza".

* * *

W związku z 35 rocznicą zakończenia II wojny światowej, odbył się w nowojorskiej siedzibie ONZ pokaz filmu reż. Romana Wionczka „Sekret Enigmy"; utwór wzbudził duże zainteresowanie.

* * *

W serii przedstawień „Czarodziejskiego fletu" Mozarta w Cavent Garden w Londynie, ukazały się liczne i entuzjastyczne recenzje poświęcone odtwórczyni partii Królowej Nocy w tym dziele — Zdzisławie Donat.

* * *

Orkiestra Komische Oper w stolicy NRD poprowadzona przez Krzysztofa Pendereckiego towarzyszyła Kaji Danczowskiej, która wykonała koncert skrzypcowy polskiego kompozytora.

BILANS TARGÓW KSIĄŻKI

Warszawskie targi książki są nie tylko ważną imprezą handlową, ale również społeczno-kulturalną. Stały się one bowiem trwałym elementem w międzynarodowej współpracy kulturalnej. Zgodnie ze swoją dewizą „Książka w służbie pokoju i współpracy międzynarodowej" są one praktyczną realizacją postanowień Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach, miejscem spotkań wydawców zachodnich z wydawcami z krajów socjalistycznych, forum sprzyjającym wymianie poglądów przedstawicieli o różnych systemach politycznych, społecznych i gospodarczych.

Gdy w 1956 roku odbywały się po raz pierwszy w Polsce międzynarodowe targi książki, nikt nie rokował im tak dynamicznego rozwoju i tak wielkiego sukcesu na światowym rynku księgarskim. Odbywające się w ramach Targów Poznańskich pierwsze MTK zgromadziły zaledwie 37 wystawców z 13 krajów, w tym tylko 19 wystawców zagranicznych. Poznań był gospodarzem MTK jeszcze w następnym roku. Potem przeniesiono je do Warszawy, gdzie ma swe siedziby większość instytucji wydawniczych, dzięki czemu łatwiej jest zagranicznym uczestnikom nawiązać bezpośrednie i bliskie kontakty zawodowe.

Do udziału w jubileuszowych XXV MTK w Warszawie zgłosiło się ponad 1500 wydawców z Algierii, Australii, Belgii, Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, Holandii, Hiszpanii, Indii, Japonii, Jugosławii, Kamerunu (po raz pierwszy), Kanady, Kuby, Libii, NRD, Polski, RFN, Rumunii, Senegalu (po raz pierwszy), Szwajcarii, USA, Węgier, Wielkiej Brytanii, Włoch i Związku Radzieckiego. Osobne stoisko zajęły wydawnictwa ONZ. Swe książki prezentowali również wydawcy z Berlina Zachodniego. Ogółem na stoiskach ustawionych, zgodnie z tradycją w salach Pałacu Kultury i Nauki, wyłożono 140 tys. książek.

Warszawskie MTK specjalizują się w dziedzinie literatury naukowej, technicznej i medycznej wydawanej w języku angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. W mniejszym zakresie eksponowane są publikacje z innych dziedzin — wydawnictwa artystyczne, beletrystyka, książki dziecięce i młodzieżowe, encyklopedie i słowniki, muzykalia.

Range i światowe znaczenie warszawskich MTK najdobitniej podkreśla stale powtarzająca się obecność najwybitniejszych domów wydawniczych

Z tej licznej grupy wymienić należy przede wszystkim firmy od 25 lat związane z tą imprezą. Do targowych jubilatów zagranicznych należą: Artia z Pragi, Buchexport z Lipska, „Collet's Holdings LTD" z Wellingborough, Grosso haus Wegner and Co. z Hamburga, Groupe Internalional Hachette z Paryża, Walter de Gruyter z Berlina Zachodniego, Kultura z Budapesztu, Licosa z Florencji, McGraw Hill Company z Nowego Jorku, Mieždunarodnaja Kniga z Moskwy, Oxford University Press z Oksfordu, Schweizer Buchzentrum z Olten, Slovart z Bratysławy, Springer Verlag z Berlina Zachodniego i Springer Verlag z Wiednia.

— Efekty rozmów, jak wiadomo, rozciągają się zawsze w czasie i będzie je można ocenić dopiero w ciągu paru miesięcy — powiedział dyrektor naczelny centrali „Ars Polona", Janusz Palacz. — **Ale z drugiej strony wiadomo również, że szereg negocjacji finalizujemy właśnie na targach. Jeśli powiem więc, że zawarliśmy transakcje w eksporcie i imporcie na kwotę około 13 mln złotych dewizowych, to jest to w dużej mierze rezultat stałej, a teraz skonkretyzowanej pracy wydawców oraz naszej wcześniejszej działalności handlowo-akwizycyjnej. Wydawcy bowiem rozpoczynają rozmowy, które my potem finalizujemy.**

Ogólnie rzecz biorąc, tegoroczne targi spełniły nasze oczekiwania, a w niektórych dziedzinach uzyskaliśmy nawet lepsze efekty od spodziewanych. Mam na myśli przede wszystkim sprzedaż usług poligraficznych oraz eksport artykułów różnych, pozawydawniczych. Mogę się tu powołać na transakcje z firmami z ZSRR i innych krajów socjalistycznych, z RFN, Wielkiej Brytanii, Francji, USA i innych.

W dziedzinie dla nas podstawowej, a mianowicie eksportu książek i czasopism w formie bezpośredniej lub dzięki umowom koprodukcyjnym, mamy do zanotowania szereg wartościowych — nie tylko z handlowego punktu widzenia — transakcji. Szczególnym zainteresowaniem naszych kontrahentów zagranicznych cieszą się wydawnictwa albumowe, książki dla dzieci, reprinty, słowniki.

Jak zwykle zakupimy wszystkie książki z targowej ekspozycji, na które będzie zapotrzebowanie, przede wszystkim z myślą o bibliotekach, wyższych uczelniach i instytutach. Około 25 procent tego rodzaju zakupów trafi do odbiorców indywidualnych.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Nie ma tygodnia w polityce międzynarodowej, który nie byłby wypełniony ważnymi wydarzeniami. Jedne z nich mają następstwa zaraz, inne — po czasie. Do tych ostatnich należy zakończenie prawyborów w Stanach Zjednoczonych.

W partii republikańskiej przyniosły one zdecydowane poparcie dla R. Reagana, reprezentującego, jak wiadomo, zachowawcze poglądy. W polityce zagranicznej opierają się one „na niebezpiecznych złudzeniach i mitach" z przeszłości, która bezpowrotnie minęła. Tak przynajmniej o Reaganie wypowiedział się w ub. tygodniu C. Vance (o wypowiedzi tej będziemy pisać za chwilę). Walka wewnętrzna w partii republikańskiej nie była trudna, gdyż drugi z kandydatów — G. Bush wycofał się przed zakończeniem tury. Przebieg konwencji jest więc już jasny.

Nie jest natomiast, wbrew wynikom prawyborów, jednoznaczna sytuacja w **partii demokratycznej**. Piszemy: wbrew wynikom, gdyż J. Carter uzyskał niezbędną ilość głosów i wysunął się przed E. Kennedy'ego, któremu, gdyby posłużyć się tylko arytmetyką prawyborów, powinno braknąć na konwencji ponad 300 głosów. Ale Kennedy nie rezygnuje z walki i jest pełen nadziei, że to jemu demokraci powierzą kandydowanie. Wierzy w to, ponieważ w stanach o największym ciężarze gatunkowym wygrał z Carterem, co wskazuje, iż wyborcy nie obdarzają obecnej administracji zaufaniem. Przede wszystkim z powodu rosnącej wciąż inflacji i powiększaniu się bezrobocia. Kennedy przypuszcza, że na konwencji uda się uwolnić delegatów od ciążącego na nich zobowiązania i wtedy część z nich wesprze jego. Tym zapewne kierując się odrzucił wezwanie Cartera do jedności demokratów, co praktycznie oznaczało próbę nakłonienia przeciwnika do rezygnacji z dalszych zabiegów o prezydencki fotel.

A więc ostatecznie **Carter czy Kennedy?**

Na to pytanie będzie można odpowiedzieć bez pomyłki dopiero po konwencji demokratów.

Pisaliśmy na tym miejscu **o trzecim, tzw. niezależnym kandydacie** na prezydenta — Andersonie. Może on odegrać pewną rolę w wyborach, a nawet, w określonej sytuacji, zostać prezydentem, wyłonionym wprawdzie nie przez elektorów, a Kongres.

Cały temat: wybory prezydenckie 1980, może nie zasługiwałby na powracanie do niego, gdyby nie to, że sytuacja międzynarodowa jest napięta, a **głowa państwa w USA odgrywa decydującą rolę nie tylko w polityce wewnętrznej, lecz i zagranicznej** oraz gdyby nie fakt, że **przedwyborcze powikłania w Stanach Zjednoczonych na kilka miesięcy przed datą głosowania są większe niż kiedykolwiek.**

Oczywiście — te powikłania muszą z czegoś wynikać. Otóż część wyborców ma po prostu wątpliwości, czy Carter raz jeszcze powinien kierować państwem.

Z tematem dotychczas podjętym łączy się pierwsza od czasu zdymisjonowania wypowiedź b. sekretarza stanu — C. Vance. Przedstawił on obszernie zasady, jakimi kierował się w polityce zagranicznej i jakie uważa nadal za konieczne.

I tak np. uznał odłożenie przez Cartera ratyfikacji układu **SALT II za podstawowy błąd**, który można jeszcze naprawić pod warunkiem, że Senat szybko zajmie się sprawą. Powiedział również, że USA powinny dążyć w **drodze rokowań** do osiągnięcia porozumienia w celu ograniczenia współzawodnictwa między obu mocarstwami. — Jest złudzeniem — zaznaczył — że St. Zjednoczone mogą dominować nad Zw. Radzieckim. Jest to **koncepcja przestarzała**, nie mająca nic wspólnego z rzeczywistością. We współczesnym świecie niczego nie osiągnie się na drodze gwałtownych reakcji, gróźb, bluffów... Trzeba rozumieć zmieniający się świat i wykazywać stałość w działaniu.

Nie trzeba dodawać, jak żywo wypowiedź ta jest komentowana przez agencje prasowe.

Spośród wydarzeń ostatnich dni zatrzymajmy się jeszcze na jednym — oficjalnym potwierdzeniu, że pod koniec bieżącego miesiąca **udadzą się z wizytą do ZSRR kanclerz Schmidt i min. Genscher.** Kanclerz przed kamerami telewizji oświadczył, że „już sam fakt prowadzenia rozmów jest wartością samą w sobie". Dialog, mimo znacznego pogorszenia się sytuacji międzynarodowej, nie został zerwany. Obecnie przed podróżą, prowadzi on konsultacje z sojusznikami.

Przedwcześnie na komentarz, związany z tą zapowiedzianą na nieodległy czas wizytą. Przypomnijmy tylko, że niedawno Warszawa była miejscem spotkania L. Breżniewa z V. Giscard d'Estaing, a Wiedeń — Gromyki z Muskie. Czy zarysowuje się możliwość powrotu do konstruktywnego dialogu?

W. SŁAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

WACŁAW OPACKI

PAPIER I FABRYKA KTÓRYCH JESZCZE NIE MA

Papieru jest brak. Fakt ten jednak do społecznej świadomości docierał powoli, można powiedzieć — okrężnymi drogami. Najpierw były drobne perturbacje z rynkowymi dostawami zeszytów szkolnych, potem z papierem toaletowym. Gdy w kioskach zaczęły się ukazywać pisma o zmniejszonej objętości — wątpliwości nikt już nie miał. Stało się jasne, że dotychczasowa produkcja papieru nie nadąża za potrzebami społecznymi, kulturalnymi i gospodarczymi. Brak papieru nie jest tylko „naszym" problemem. W maju 1980 roku zaczęły napływać agencyjne doniesienia o posunięciach państw zachodnioeuropejskich zmierzających do oszczędzania papieru.

Zanik zdolności produkcyjnej polskiego przemysłu celulozowo-papierniczego obserwujemy z niepokojem od lat. Jeśli w 1977 roku papieru wyprodukowano o 40 tys. ton mniej niż planowano, to w 1978 roku już 120 tys. ton mniej. W 1979 r. deficyt wzrósł o dalsze 60 tys. ton. Plan roku 1980 — 1.050,6 tys. ton jest o 40,6 tys. większy niż w roku 1979, ale jednocześnie 20 tys. ton mniejszy niż w roku 1978. Najwięcej zwala się na zeszłoroczną zimę, która spowodowała trudności w zaopatrzeniu zakładów papierniczych w drewno. Zmniejszyły się więc w szybkim tempie zapasy papieru, co w konsekwencji najbardziej odczuły właśnie drukarnie. Na zimę zwala się winę za spadek produkcji o 70 tys. ton w roku, w pozostałej części — na awarie spowodowane wysokim stopniem zużycia urządzeń. Pracę zakładów papierniczych dezorganizują też ograniczenia dostaw energii i deficyt pary sięgający 30 procent. A trzeba wiedzieć, że papiernictwo jest szalenie energochłonne: pochłania rocznie 1,9 mln ton węgla, ale 90 procent ciepła i około 33 procent potrzebnego prądu elektrycznego produkuje samo. Stan posiadanych przez branżę papierniczą dwudziestu elektrociepłowni jest opłakany. Niektóre z zainstalowanych w nich kotłów liczą sobie po 80 lat, turbin — ponad 40 lat.

Pod względem produkcji papieru Polska zajmuje 17 miejsce w świecie, a w zużyciu na jednego mieszkańca — piąte miejsce wśród krajów RWPG, dwudzieste w Europie i trzydzieste drugie w świecie. Na jednego mieszkańca Polski roczne zużycie papieru wyniosło w 1978 roku około 44 kg (chodzi o wszystkie rodzaje papieru, łącznie z tekturą), podczas gdy w Czechosłowacji — 66, NRD — 86, w RFN — 200, USA — 268. Jeszcze mnie korzystnie wypadnie to przeliczenie, jeżeli ograniczymy się do zużycia papieru do druku, pisania i rysowania.

Występujące braki uzupełniamy importem, którego wielkość wynosi ok. 180 tys. ton rocznie. Ale cena papieru, tak jak ropy naftowej, idzie ciągle w górę na rynkach światowych. Tylko w pierwszych miesiącach 1980 roku skoczyła średnio o 15 procent. Zrozumiałym jest więc fakt naglącej wprost budowy nowych i modernizacji starych zakładów.

Inwestycje w przemyśle papierniczym są bardzo kosztowne i... długotrwałe. Na rozwój leśnictwa i przemysłu drzewno-papierniczego wydatkowano w latach 1971—78 94 mld zł, przez co wartość produkcji w tych dwóch gałęziach wzrosła prawie dwukrotnie (wynosi ona obecnie 150 mld zł), ale gdyby uwzględnić fakt, że przez ten czas podniósł się poziom edukacji społeczeństwa, nastąpiło rozszerzenie zainteresowań i zwiększenie zapotrzebowania na informacje z różnych dziedzin życia gospodarczego czy politycznego — te wydatki okażą się przysłowiową kroplą w morzu potrzeb.

Przy rozwiązywaniu problemu papierowego trzeba brać pod uwagę wszystkie istniejące możliwości, a przede wszystkim rezerwy tkwiące w oszczędnej gospodarce tym surowcem. Gospodarka papierem wymaga zmian, i to radykalnych. Zmian w zasadach dystrybucji i rygorystycznej reglamentacji. Rezerwy tkwią na przykład w zbytnio rozbudowywanej sprawozdawczości — wbrew zakazom GUS — gdzie papier jest przede wszystkim pożytkowany. A więc nie tam, gdzie powinien. Wybujała papierkomania króluje na różnych szczeblach administracji, w nauce, gastronomii, organizacjach, stowarzyszeniach — pochłaniając rocznie 170 tys. ton papieru, czyli tyle samo, co zużywamy na książki i prasę. Zalewowi papierków stara się wprawdzie przeciwdziałać Komisja Racjonalizacji Druków przy prezesie Polskiego Komitetu Normalizacji i Miar, weryfikująca przydatność i rozmiary formularzy, ale najbardziej efektywne wyniki (wymierne w liczbach) jej działalności na nic się zdadzą. Tu bowiem potrzeba zmiany mentalności tych, którzy wykorzystują papier w nadmiernej ilości i nie tam, gdzie go potrzeba.

Sytuacja zmieni się nieco, gdy ruszą Zakłady Celulozowo-Papiernicze w Kwidzynie. Budowa tej fabryki jest jednym z przedsięwzięć prowadzących do skrócenia dystansu od papierowej przyzwoitości. Z chwilą osiągnięcia pełnej mocy produkcyjnej zakładów zużycie papieru w Polsce na jednego mieszkańca podskoczy o 8 kg.

Pod względem wielkości produkcji kombinat w Kwidzynie będzie drugim co do wielkości zakładem papierniczym w kraju — po Zakładach Celulozy i Papieru w Świeciu oraz jednym z większych w świecie, ale za to najnowocześniejszym na kontynencie. W momencie osiągnięcia pełnego rozruchu będzie tu powstawać 12 procent całkowitej produkcji przemysłu celulozowo-papierniczego, w tym 20 procent krajowej produkcji papieru i tektury i aż 90 procent krajowej produkcji papieru do druku i pisania.

O zlokalizowaniu ZCP w Kwidzynie zadecydowały korzystne warunki poboru wody i dobre warunki komunikacyjne. W okresie opracowania projektu budowy sygnalizowano nadwyżkę siły roboczej w Kwidzynie i rejonie..

Do pierwszych prac przystąpiono w 1973 roku, w rok po zatwierdzeniu przez Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego planu techniczno-ekonomicznego. Plan ten opracowało Biuro Studiów i Projektów Przemysłu Papierniczego w Łodzi, zaś dokumentację realizacyjną obiektów dostarczyło biuro H.A. Simons z Vancouver w Kanadzie.

W 1975 roku, nominowany już wtedy dyrektor przyszłej „Celulozy" — inż. Olszewski, zapewniał dziennikarzy, zresztą z wielkim optymizmem: **„rozruch pierwszej maszyny papierniczej — w IV kwartale 1978 r., a ostatniej — w 1980 r."**

Realizację podstawowych obiektów produkcyjnych zaczęto w drugim półroczu 1976, ale już od samego początku — wbrew przewidywaniom inż. Olszewskiego — budowa kombinatu jakoś się nie kleiła. Popełniono dużo błędów. Okazało się bowiem, że jest to inwestycja całkowicie nie przygotowana. Wykonawcom nagle zaczęło brakować wszystkiego, m.in. sprzętu, konstrukcji stalowych, piasku (!), dokumentacji, a przede wszystkim ludzi, o których zresztą całkowicie zapomniano się zatroszczyć. O tych, co zaczęli na tej budowie pracować... też zapomniano. W roku startu budowy miałem okazję być na niej i zobaczyć, w jakich warunkach robotnicy pracowali i mieszkali: nie było się gdzie myć, co zjeść i co kupić do jedzenia, w kwaterach brakowało prądu.

W ostatnich dniach 1977 roku miałem okazję usłyszeć od naczelnego inżyniera z ramienia inwestora, że zostały źle przeprowadzone badania geologiczno-inżynierskie gruntu. Już wtedy było wiadomo, że termin ukończenia I etapu kombinatu — celulozowni przesunie się co najmniej o pół roku. I tak się stało.

20 kwietnia 1978 roku, po raz kolejny odwiedziłem budowę. Odbyło się wtedy spotkanie z władzami politycznymi województwa elbląskiego, generalnym wykonawcą, inwestorem. Dostałem 14-stronicową (plus 4 strony aktualnego stanu realizacji) „Charakterystykę Zakładów Celulozowo-Papierniczych w budowie w Kwidzynie". Na stronie 13 było napisane: **„zgodnie z Uchwałą nr 27/78 RM z dnia 3.03.1978 r. uruchomienie wytwórni mas celulozowych wraz z I etapem inwestycji ogólnozakładowych nastąpi w czerwcu 1979 r."** Z Kwidzynia wyjechałem w optymistycznym nastroju.

W maju 1978 roku do Kwidzynia zjechali przedstawiciele centralnych władz państwowych. Dowiedziałem się, że inwestycja jest opóźniona o dalszy miesiąc w stosunku do nowego harmonogramu. Coraz dotkliwiej dawało o sobie znać nieprzystosowanie dokumentacji, sporządzonej przez kanadyjskie projektowe biura inżynierskie, do naszych warunków i... zwyczajów. Zabrakło w niej np. zestawień materiałowych i rysunków roboczych. Uzupełnienie tych elementów spadło na barki krajowego wykonawcy. Swoją drogą, dokumentacja nie była regularnie i rytmicznie dostarczana, przy tym często zmieniana. Kanadyjczycy za te „uchybienia" zapłacili 2 mln dolarów kary.

Właśnie na początku maja 1978 roku brakowało potrzebnej w tym czasie dokumentacji robót wartości 350 mln zł.

Potem trudności jeszcze bardziej się pogłębiły Plan wykonywano zaledwie w 50—60 procentach. Musiano w końcu coś z tym zrobić.

W sierpniu 1978 roku zapadły decyzje o powołaniu pełnomocnika ministra budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych do spraw budowy Zakładów Celulozowo-Papierniczych w Kwidzynie Wyposażono go w znaczne prerogatywy, dające mu niezależność i swobodę decyzji, również w sprawach kadrowych. Odwołany został jednocześnie dotychczasowy dyrektor Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego „Północ". Stwierdzono bowiem, że kierownictwo lekceważyło priorytetowy charakter tej budowy. **Wykonawcy tylko z tego się spowiadają.**

Myślałem: nareszcie zrezygnowano z magii cyfr, które zawsze wszystkich szokowały i... uspokajały, stawianie konkretnych zadań, z nich rozliczanie a nie z wielkości podawanych w sprawozdaniach.

Pod koniec rozmowy spytałem docenta Lewandowskiego: czy doczekamy się planowego terminu realizacji I etapu, czyli uruchomienia celulozowni, w czerwcu 1979 roku. Docent odpowiedział, że cała budowa miała złą famę, ale będzie zrealizowana na czas.

W czerwcu do Kwidzynia nie pojechałem i zapowiedzianego szampana nie wypiłem. Wcześniej już otrzymałem informację (też n-stronicową), w której było napisane:

„Zgodnie z Uchwałą nr 41/79 Rady Ministrów z dnia 2.03. 1979 r. uruchomienie wytwórni mas celulozowych wraz z I etapem inwestycji ogólnozakładowych nastąpi w listopadzie 79 r.".

Myślałem, że widocznie i tu zima zrobiła swoje. Tak, jak wszędzie, nastąpiło zakłócenie rytmiczności dostaw materiałów, konstrukcji i urządzeń, także spadek potencjału przerobowego i operatywności. No i w końcu musiała się odbyć narada, na której zdecydowano się podjąć decyzję o przesunięciu terminu uruchomienia tej inwestycji.

Cechą tej budowy były i są narady. Najpierw były rady budowy. Zbierali się dyrektorzy przedsiębiorstw wykonawczych, rozmawiali, raczej licytowali się, ile kto wyrobił przerobu. Potem przekształciły się one w posiedzenia. Nie wątpię, że decyzje, zapadłe z udziałem przedstawicieli ministerstw, były o wiele skuteczniejsze, no i dochodzono do porozumienia znacznie szybciej. Ale nie na tyle, żeby radykalnie zmieniły negatywny obraz kwidzyńskiej budowy Dochodziło do tego, że przyjeżdżał wicepremier, chwytał za telefon, wydawał dyspozycje — dopiero skuteczne.

W lipcu 1979 roku, po raz kolejny oceniano stan budowy. Okazało się, że na razie stare problemy wcale nie zniknęły: chociażby z dokumentacją, z nierytmicznością dostaw konstrukcji stalowych, farb, gazów technicznych, rur, kształtowników. Wykaz materiałów, maszyn i urządzeń niezbędnych do uruchomienia inwestycji zajął... 20 stron maszynopisu i 11 załączników. Niepełne były dostawy inwestorskie, a w dokumentacji wprowadzane były zmiany utrudniające ukończenie poszczególnych obiektów. Źródło zaś niewielkiego stanu zaawansowania robót tkwiło w **„niedoborze potencjału wykonawczego przedsiębiorstw budowlanych działających na terenie województwa".**

26 lipca 1979 roku zwołano posiedzenie Sekretariatu KW PZPR w Elblągu z udziałem wicepremiera. Okazało się, że **„brak drobiazgów blokuje budowę w dalszym ciągu".**

We wrześniu 1979 roku dla tej budowy, po raz kolejny, zapalono zielone światło. Sprawą zajęło się Prezydium Rządu. **„Zapadły decyzje idące w kierunku usprawnienia budowy** — czytamy w komunikacie Polskiej Agencji Prasowej. — **Określono w nich zmodyfikowane zadania dla organizacji gospodarczych dostarczających niezbędne surowce i materiały, maszyny, urządzenia oraz inny sprzęt..."** Podjęto działania przygotowujące do uruchomienia pierwszej maszyny papierniczej, bowiem przedłużanie składowania jej w Kanadzie mogłoby doprowadzić do utraty gwarancji technologicznych.

Sprzyjającego światła nie wykorzystano. Finansowy plan nakładów inwestycyjnych został wykonany, a mimo to termin uruchomienia produkcji celulozy, w listopadzie 79 r. nie został dotrzymany. 30 stycznia 1980 r. podjęto kolejną decyzję o czwartym już przesunięciu terminu oddania do użytku pierwszych obiektów kombinatu na 31 lipca 1980 r.

Obecnie opóźnienia występują w budowie kompleksu energetycznego, a bez jego uruchomienia nie może być mowy o podjęciu produkcji. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja na budowie biologicznej oczyszczalni ścieków, a także przy urządzeniach do odwadniania i spalania osadów.

Powtarza się jednak stare błędy. Budowa cierpi na niedobory limitów przerobowych. Budowa otrzymała na rok bieżący do przerobu kwotę 1.206 mln złotych. Jest to suma o 600 mln złotych mniejsza od tej, jaką wykonano w zeszłym roku i o 400 mln zł od niezbędnych dla terminowego zakończenia robót I etapu oraz zaawansowania budowy papierni, a także dla utrzymania potencjału budowlanego. **„Decyzja w sprawie dolimitowania budowy, wnioskowana na posiedzeniu Sekretariatu KW PZPR w dniu 30 stycznia 1980 roku, nie została dotychczas podjęta, a realizacja ustaleń jest w zbyt niskim stopniu nadzorowana przez kierownictwa resortów"** — czytam w piśmie KW PZPR w Elblągu.

Jakie są koszty społeczne tego finiszu? Rachunek ekonomiczny brzmi: od czerwca 1978 roku do 1 sierpnia 1980 roku ZCP miały wyprodukować 814,5 tys. ton papieru. Pełnych kosztów społecznych obliczyć się nie da. Budowa miała kosztować 28 mld zł, już teraz jednak koszt przekracza 35 mld zł, a kiedy koniec, tego nikt nie jest w stanie określić. No i dochodziły rosnące koszty importu tych brakujących ton papieru, które już dawno powinny pochodzić z Kwidzynia.

Na uruchomienie kombinatu czeka 1800 już zatrudnionych pracowników, wśród nich 160 z wyższym wykształceniem i 100 szkolonych za granicą.

Chodzi także o inwestycje towarzyszące. Od roku 1973 liczba mieszkańców Kwidzynia wzrosła o połowę — do 36 tys. Ale, rok po roku, plany inwestycyjne spadały, wykonanie jeszcze w większym stopniu. Budowa Kombinatu miała być szansą dla Kwidzynia i regionu. Co z tej szansy pozostało? Wydział Ekonomiczny KW PZPR w Elblągu, w przygotowanym przez siebie dokumencie, podaje, że na ogólną liczbę 29 planowanych inwestycji towarzyszących budowie, w bieżącej pięciolatce zakończono zaledwie 4 zadania, kontynuowanych jest 13, a 12 w ogóle nie rozpoczęto. Budownictwo mieszkaniowe jest zaawansowane w 28,3 proc. Ogólny zaś stopień wykonania robót przy inwestycjach towarzyszących wynosi 18,5 procent. W Kwidzynie wyrosły nowe osiedla mieszkaniowe, ale od lat miejscowa spółdzielnia nie otrzymała żadnego mieszkania. Żłobek, szpital, sieć gastronomiczna, mieszkania, piekarnia i inne — zostały na papierze, który, jeśliby pochodził z budowanych jeszcze zakładów, przynajmniej on by cieszył.

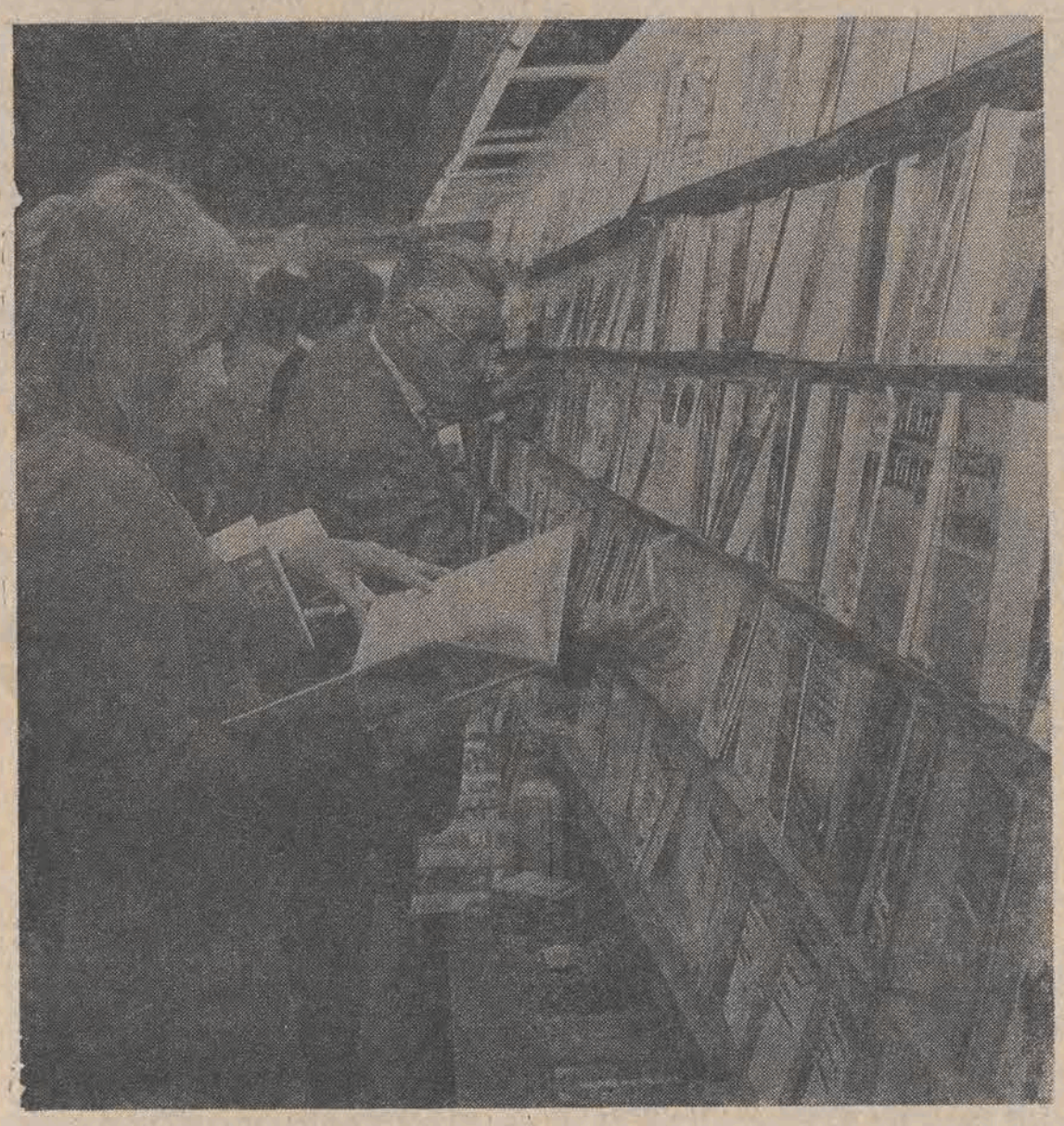

Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

— Potem przyszły nieco inne czasy i to też znalazło odbicie w gazecie.

— Gazeta codziennie ma premierę. Ona jest codziennie inna. Jednak z tego powodu, że musi być aktualna, że musi żyć tym, czym żyje cały naród, dlatego jest też ona dokumentem dokonujących się przemian. Zmienia się tak jak zmienia się życie. Podlega też pewnym modom, tendencjom, zwyczajom, które biorą się z ogólnych kierunków rozwoju polityki, społeczeństwa. Ukazuje więc zarówno postęp, jaki dokonał się w przeszłości, jak i ukazuje wszelkie zygzaki, zakręty, które społeczeństwo przeszło.

— Przez tych 35 lat przez redakcję „Głosu Robotniczego" przewinęło się bardzo dużo ludzi. Część z nich została, część odeszła, pracuje dziś gdzie indziej, ale ślad ich pracy pozostał na łamach gazety.

— Tak, ślad ten pozostał. On musiał pozostać. Dziennikarstwo ma charakter działalności twórczej. Wprawdzie głębokość wniknięcia w problemy, sposób ich przedstawiania, umiejętność dokonania analizy i syntezy omawianego problemu, wszystko to razem zależy od talentu, od wiedzy, składa się na dziennikarską indywidualność. Stąd zróżnicowanie materiałów publikowanych w piśmie, zróżnicowanie poziomu gazety w różnych okresach. Ale niezależnie od tego jaki w danym okresie był zespół, jaki reprezentował sobą poziom, gazeta starała się jak najlepiej, najdokładniej spełniać swoją rolę, ukazywać problemy dnia bieżącego, zarówno te wielkie, jak i te drobne, które decydują przecież o atmosferze naszej codzienności.

— Nie będzie przesady w tym, jeśli powiem, że „Głos Robotniczy" przez te wszystkie lata spełniał rolę kuźni kadr, że zespół wychował wielu dobrych dziennikarzy, którzy rozjechali się niemal po całej Polsce.

— Do tego właśnie zmierzam. Otóż przez te lata wśród ludzi, którzy bądź pracowali w redakcji, bądź z redakcją współpracowali, bądź tylko luźno do „Głosu Robotniczego" pisywali, było wiele interesujących indywidualności. Ludzie ci albo pozostali w dziennikarstwie, albo przeszli do innej pracy, osiągając tam dobre wyniki, odnosząc sukcesy.

— Wielu już z nich nie żyje.

— Tak. Z grona byłych naczelnych „Głosu Robotniczego" zmarli: Edward Uzdański, Stanisław Mojkowski, Jacek Groszkiewicz. Zmarł też wieloletni pracownik „Głosu Robotniczego", felietonista, Henryk Rudnicki.

— A inni?

— Wielu, którzy zaczynali jako dziennikarze w „Głosie Robotniczym" przeszło później do pracy partyjnej, jak na przykład Wiesław Bek, który był sekretarzem KW PZPR w Łodzi, kierownikiem Biura Prasy KC PZPR, wiceprezesem ZG RSW „Prasa-Książka-Ruch", wiceministrem kultury i sztuki, a obecnie jest kierownikiem Wydziału Pracy Ideologicznej KC PZPR. W „Głosie Robotniczym" pracowali kiedyś obecni kierownicy Centralnego Urzędu Kontroli Prasy, Widowisk i Publikacji — Stanisław Kosicki i Edward Adamiak. W „GR" pracował też Grzegorz Przysiężny, który obecnie pracuje w KC PZPR.

W naszej redakcji pracowali też znani pisarze: Bohdan Drozdowski, Zbigniew Nienacki, Ryszard Binkowski, Jerzy Wilmański, który do dziś pisuje sobotnie felietony u nas. Pracowali tu dziennikarze: Wacław Urbański, Zbigniew Chyliński, Henryk Walenda, Bogusław Reichart, naczelnym redaktorem był Sergiusz Kłaczkow. Zresztą ty też przez wiele lat pracowałeś w „Głosie Robotniczym".

Nie sposób wymienić wszystkich. Przez tych 35 lat przez redakcję przewinęły się dziesiątki osób. Nieliczni jeszcze tylko pamiętają pierwsze lata gazety. Wielu już zażywa zasłużonego odpoczynku, jak się zwykło nazywać emeryturę.

— Ci wszyscy ludzie tworzyli tradycję gazety. Czy dzisiaj redagujący gazetę zespół ma poczucie tej tradycji?

— Gazeta zmienia się i zmienia się dziennikarstwo. Kiedy wracamy do starych tekstów, to wiele z nich dziś się już nie weryfikuje. Z różnych względów. Warsztatowych też. Co nie znaczy, że nie mamy poczucia więzów z tradycją gazety.

— Adresat dziś też jest inny. Ale mnie chodzi również o różne akcje gazety. „Głos Robotniczy" zawsze przywiązywał dużą wagę do swojej roli organizatorskiej.

— I nadal przywiązuje. Z tego właśnie wzięły się między innymi „Dni Czytelników Głosu Robotniczego". Z tej tradycji wywodzą się też inne nasze akcje, jak na przykład różne nasze konkursy: na ludzi inicjatyw społecznych, na oszczędność energii elektrycznej, na pracę organizacji młodzieżowej w małych miasteczkach, na każdy dzień na wagę złota, czy wreszcie nasza akcja fundowania książeczek mieszkaniowych sierotom.

Do tego dodałbym nasze dyskusje redakcyjne, których sens organizatorski jest chyba niewątpliwy, jako że dotyczą one naszych spraw, metod pracy, działania, podejmują próbę analizy różnych zjawisk społecznych. Wymienię tu tylko ostatnią dyskusję na łamach naszej gazety, w której publikowaliśmy listy czytelników na temat: jak uczyć historii.

— Miarą popularności każdej gazety są listy czytelników, ich reakcja na to, co się na łamach gazety publikuje. Ile listów otrzymujecie i o czym piszą do was czytelnicy?

— Różnie, to zależy od okresu, od tego, czym gazeta próbuje zainteresować czytelników i czy trafia w ich zainteresowania. Dziennie przychodzi od 200 do 270 listów. Czytelnicy dzielą się z nami swoimi uwagami na tematy poruszane w gazecie, polemizują, dzielą się w ogóle swoimi spostrzeżeniami o sprawach ogólnych, piszą także o swoich osobistych kłopotach.

Chciałbym powiedzieć, że te wszystkie listy są czytane przez kierownictwo, odsyłane do poszczególnych działów, analizowane. Stanowią one inspirację dla dziennikarskich poszukiwań. Poza tym dziennikarze otrzymują wiele listów osobiście. No i dochodzi do tego kontakt telefoniczny. Niech się tylko coś stanie na mieście, telefony u nas zaraz zaczynają się — jak to się mówi — urywać.

— Świadczy to o trwałym i silnym kontakcie z czytelnikami. Ale „GR" obsługuje teraz cztery województwa. Czy to nie utrudnia kontaktu z czytelnikami z innych województw, czy macie świadomość, że zaspokajacie ich zainteresowania?

— Nie jest to takie proste. Po reformie administracyjnej gazeta musiała zmienić się z gazety wojewódzkiej w gazetę ponadwojewódzką. W programie naszego oddziaływania na czytelnika staramy się podejmować takie problemy, które są typowe dla całego regionu, dla całego kraju. I wtedy przestaje już być istotne, czy my ten problem zilustrujemy przykładami z Tomaszowa Mazowieckiego, Sieradza, Sochaczewa czy Łodzi, bo istotny jest sam problem, a on występuje wszędzie. Istotne są wnioski, do jakich dochodzi publicysta, jakie propozycje prezentuje czytelnikom.

Alternatywą takiego podejścia w redagowaniu gazety codziennej byłoby tworzenie gazet wojewódzkich, co byłoby niebezpieczne ze względu na rozproszenie środków i obniżenie poziomu dziennikarstwa w kraju.

— Dla wielu czytelników jest to jedyna gazeta.

— Właśnie. I musi ona przynieść wiadomości nie tylko z regionu, ale musi pisać o tym, co się stało na świecie, o różnych zjawiskach zachodzących w kraju, przynieść bieżący serwis informacji z kraju i zagranicy. Gazeta dziś nie może się ograniczać tylko do jednego rejonu, bo byłby to straszny zaścianek.

— Ale w poszczególnych województwach powstają dziś tygodniki społeczno-informacyjne, jak już istniejący „Tygodnik Piotrkowski", które w jakimś stopniu przejmą funkcje

JAK NAJBLIŻEJ ŻYCIA

Na zdjęciu: od lewej redaktor naczelny „GR" — Jan Pakuła oraz zastępcy redaktora naczelnego: Stefan Kotlarek i Henryk Pawlak

Zwolnienie

19 maja 1980 roku „Sztandar Młodych" opublikował list byłego trenera siatkarek ŁKS, Ryszarda Felisiaka. Gazeta list ten zaopatrzyła następującym komentarzem.

„Zapoznanie się ze sprawą Felisiaka — dobrze nam znanego z pracy trenera — zmusza do zastanowienia i postawienia szeregu pytań. Jak to może być, by dobrego trenera i wychowawcę młodzieży wyrzucić z pracy z dnia na dzień bez powodu? Jakie kryteria naboru działaczy obowiązują w ŁKS skoro dochodzi w tym klubie do sytuacji opisywanej w poniższym liście? Czy w klubie tym nikomu nie zależy na dobrej atmosferze, takiej samej opinii i poszanowaniu pracy — w tym przypadku człowieka, który sekcję siatkówki założył, a w tym roku wprowadził ją do I ligi? Co się faktycznie kryje za tą decyzją?"

W „Załączniku", jaki się ukazał w „Odgłosach" z 25 maja 1980 roku zapytaliśmy, dlaczego Ryszardowi Felisiakowi nie chciało się napisać do którejś z łódzkich gazet, a napisał do „Sztandaru Młodych"? W odpowiedzi otrzymaliśmy list, w którym Ryszard Felisiak pisze między innymi:

„Wyjaśniam. List mój przesłałem do tych łódzkich gazet, które podniosły problem, tj. do red. M. Wójcickiego w „Głosie Robotniczym", red. W. Wróbla w „Dzienniku Popularnym" i red. M. Strzeleckiego w „Expressie Ilustrowanym"... W „Sztandarze Młodych" zostawiłem swój list, ponieważ byłem w tej gazecie laureatem konkursu na trenerów wychowawców... Chciało mi się przede wszystkim wyjaśnić pewne sprawy na łamach prasy łódzkiej, a to dlatego, że klub nie zaprosił mnie na konferencję prasową, na której mógłbym to wszystko powiedzieć, a gdzie omawiano moją sprawę. I dlatego jeszcze, że mam w Łodzi wielu wychowanków i nie chciałbym, aby pomyśleli, że w starszym wieku zmieniłem swoje oblicze..."

Do listu Ryszard Felisiak dołączył owe pismo, którego tekst ukazał się na łamach „Sztandaru Młodych".

Ryszard Felisiak jest znanym pedagogiem i trenerem. Pracę pedagogiczną zaczął w Sycowie. W 1952 roku otrzymał za swą działalność nagrodę, jako nauczyciel i działacz społeczny. Był opiekunem drużyny harcerskiej, która została wyróżniona na Dolnym Śląsku. Wraz z młodzieżą z Sycowa był na spotkaniu z Bolesławem Bierutem, jako opiekun wyróżnionej drużyny.

Studia ukończył we Wrocławiu w 1956 roku i przyjechał do Łodzi, gdzie pozostaje do dnia dzisiejszego. Uczył w XXII Liceum Ogólnokształcącym, w XXI Liceum Ogólnokształcącym oraz w Zespole Szkół Mechanicznych nr 1. W XXVIII Liceum Ogólnokształcącym i Technikum Mechanicznym nr 3 zorganizował klasy, które specjalizowały się w grze w siatkówkę. Wychował wielu nauczycieli wychowania fizycznego, zawodników, w tym mistrzów Polski i olimpijczyków. Przez 10 lat pracował w Okręgowym Związku Piłki Siatkowej w Łodzi.

Był działaczem ZMP, Związku Nauczycielstwa Polskiego, radnym PRN, członkiem wielu różnych komisji. Zawsze był skory do pracy społecznej, nigdy nie żałował swego czasu. I teraz, kiedy nagle stał się niepotrzebny, kiedy nagle zwolniono go, pozbawiając możliwości trenowania młodzieży, kiedy okazało się, że jego wiedza i doświadczenie są już niepotrzebne, poczuł się skrzywdzony i trudno się dziwić, że szuka sprawiedliwości.

Powołajmy się raz jeszcze na komentarz „Sztandaru Młodych":

„Na te pytania (cytowane już na wstępie — red.) powinny znaleźć odpowiedź władze klubu — natomiast władze nadrzędne i administracyjne powinny dopilnować, aby odpowiedzi na te pytania zostały publicznie udzielone. W tej chwili sprawa Felisiaka jest już bowiem sprawą głośną. Po takich decyzjach, jak w przypadku trenera siatkówki w ŁKS innym szkoleniowcom odchodzi po prostu ochota do pracy w sporcie. Nie jest to więc sprawa obok której można przejść obojętnie."

Przytaczamy te słowa dlatego, że uważamy je za słuszne. W sporcie dość często działacze uważają, że nie podlegają żadnej społecznej krytyce, co jest oczywiście mniemaniem błędnym. Wszakże unikanie odpowiedzi na krytykę jest wśród działaczy sportowych dość rozpowszechnione. Nie jest to dobra praktyka. I nie można się z nią godzić.

A teraz oddajmy głos Ryszardowi Felisiakowi. Oto fragmenty listu, jaki były trener ŁKS rozesłał do łódzkich gazet i do „Sztandaru Młodych":

Współczesny klub sportowy przejmuje na siebie rolę wychowawczą, której nie może oddzielić od działalności sportowej. Jeżeli się o tym zapomni nie tylko wpłynie to ujemnie na wyniki sportowe, lecz niedocenianie pracy wychowawczej doprowadza do demoralizacji i wykolejenia się dobrze zapowiadających się zawodniczek.

Będąc trenerem i zarazem nauczycielem nie mogłem przechodzić obojętnie obok łamania przez niektórych działaczy dyscypliny jak: faworyzowanie wybranych zawodniczek, robienie sobie z wyjazdów sportowych „pikników", wprowadzanie do zespołu niezdrowej atmosfery nieufności i braku wzajemnego poszanowania. Moje oświadczenie, że nie mogę wyjeżdżać z ludźmi nieodpowiedzialnymi zadecydowało między innymi, że zostałem zwolniony z funkcji trenera siatkarek przed końcem zatwierdzonego przez Zarząd Klubu planu szkoleniowego na rok 1979/80.

Gdyby nastąpiło to dlatego, że drużyna bezskutecznie walczyła o powrót do I ligi, gdyby sekcja siatkówki podczas mojej pracy nie miała najwyższych osiągnięć jak wielokrotne mistrzostwa Polski juniorek, złote medale na spartakiadach, medale na mistrzostwach Europy juniorek, wychowanie 37 reprezentantek Polski juniorek, 7 reprezentantek kraju, zdobycie Pucharu Polski oraz wielu innych krajowych i międzynarodowych sukcesów, które na trwałe zapisały się w łódzkiej i polskiej siatkówce. Gdyby drużyna w zakończonych w bieżącym roku rozgrywkach nie uzyskała swojej zdecydowanej przewagi nad innymi drużynami (10 pkt.), gdyby wreszcie fakt zwolnienia mnie odbył się w atmosferze poszanowania, zdrowej i uzasadnionej dyskusji, wymiany poglądów, uczciwej i fachowej oceny szkolenia — być może byłoby to usprawiedliwieniem.

Ale odbyło się to w skandalicznej atmosferze. Intrygi niektórych członków Zarządu Sekcji stały się nietypową lekcją dla młodych dziewcząt: jak docenia się poświęcenie i zapał w pracy, jak nagradza się człowieka za osiągnięte wyniki.

Zasadniczym powodem zwolnienia jest stawianie przeze mnie na pierwszym miejscu właściwej pracy wychowawczej, logicznej pracy szkoleniowej i dobrze pojętej pracy organizacyjnej. Sądzę, że nikt nie może zaprzeczyć, że tak było przez cały czas mojej opieki nad sekcją. Praca moja i przeze mnie dobieranego w sposób naturalny kolektywu szkoleniowego przynosiła dobre wyniki zarówno zawodniczkom jak i trenerom. Spora ilość (22) wyszkolonych zawodniczek mogła śmiało walczyć o dobre miejsce w I lidze. Uważałem, że na obecnym etapie nie jest wskazane odrywanie młodych zawodniczek od normalnego życia rodzinnego, w szkole czy na wyższej uczelni.

informacyjną o województwie. Czy to nie wpłynie na formułę, według której redagowany jest „Głos Robotniczy"?

— Należę do zwolenników tego typu tygodników. Nie ma obawy, aby one w jakimś stopniu wpłynęły na naszą formułę. Mają one bowiem do spełnienia nieco inną rolę. W wielu nowych województwach powstała potrzeba tworzenia środowisk kulturalno-oświatowych. Powstanie nawet małego środowiska dziennikarskiego może się do tego wybitnie przyczynić. Wprawdzie w miastach wojewódzkich istnieją korespondenci PAP, oddziały pism partyjnych, my mamy oddziały „GR", ale to jest jeszcze mało. Powstanie tygodnika znacznie wzmocni środowisko dziennikarskie i może stać się zarzewiem ruchu twórczego, ośrodkiem integracyjnym dla życia kulturalnego.

Tygodniki z natury swojej muszą preferować publicystykę i to wcale nie ograniczając się tylko do spraw lokalnych. Jeśli nowe tygodniki będą rozwijały się w takim kierunku, to dla pisma codziennego partyjnego powstanie tylko okazja dla rozwijania dobrej informacji, do czego jesteśmy przede wszystkim zobowiązani.

— Czy nie będzie się to działo ze szkodą dla publicystyki?

— Nie w sensie jej poziomu. Może jedynie ograniczyć jej wielkość. Ale każdy dziennik powinien preferować informację. Takie jest przynajmniej moje zdanie.

— Skoro już rozmawiamy o tygodnikach i dziennikach, nasuwa mi się pytanie o rolę i miejsce literatury w gazecie. Od dawna trwa na ten temat spór. Uprawiający literaturę domagają się miejsca dla siebie w dzienniku. Redagujący bronią się przed tym. Jakie jest twoje zdanie na ten temat?

— Moja odpowiedź niewątpliwie nie zadowoli moich adwersarzy, ale nie mogę ukrywać swego stanowiska. Uważam i tak uważamy w zespole, że nasz obowiązek wobec wszelkiej twórczości artystycznej sprowadza się do informowania o dokonaniach, ich oceny poprzez krytykę do popularyzacji. Zapraszaliśmy i zapraszać będziemy twórców do dyskusji o kulturze, do wypowiedzi o problemach warsztatu twórczego, do wypowiadania się na aktualne tematy społeczne i polityczne. Nie jest jednak naszym celem i zadaniem publikacja fragmentów prozy czy utworów poetyckich.

Niektórzy, którzy od nas tego oczekują, powołują się na tradycję. Istotnie, przed laty tak było. Ale to były inne czasy, nie było tak rozbudowanej prasy literackiej, ówczesna literatura spełniała inną rolę, mieściła się w funkcjach agitacyjnych gazety, niejednokrotnie wiersz współgrał z artykułem wstępnym. Zresztą dziś na ogół nie ma i za granicą pism codziennych, które by się tym zajmowały.

No i ostatnia sprawa. Mamy obecnie określone trudności z papierem W tej sytuacji musimy dokonywać wyboru w tym, co chcemy dać czytelnikowi.

— Będziecie wychodzić 5 razy w tygodniu. Będzie to wymagało niewątpliwych zmian w redagowaniu gazety. Jak sobie z tym poradzicie?

— Przez czerwiec, lipiec i sierpień będziemy w tygodniu mieli mniej o jedną gazetę objętości 4 stron. Siłą rzeczy zmniejszy to miejsce na publicystykę i informację. Musimy w tej sytuacji rezygnować z części publicystyki. Leży to w sferze naszych wcześniejszych działań, dążymy bowiem do preferowania informacji. Będziemy poszukiwali takich rozwiązań, aby czytelnik, który otrzyma o jedno wydanie mniej, jak najmniej stracił.

— W poniedziałek skomasuje się wiele informacji z trzech dni. W poniedziałek ukazuje się też sport na dwóch stronach. Czy takie nagromadzenie informacji w jednym dniu nie odbije się na miejscu dla sportu?

— Nie może. Niedługo olimpiada. Nie możemy pozbawić czytelnika bieżących informacji z olimpiady. Zamiast dwu stron, jak było do tej pory, damy trzy strony na inne informacje. Innego wyjścia nie mamy.

— Wspominaliśmy na początku naszej rozmowy o tych, którzy kiedyś pracowali w „Głosie Robotniczym". Zespół znacznie się zmienił, odmłodził. Jak oceniacie w zespole tych, którzy tu teraz przyszli i pracują?

— Mamy wielu młodych utalentowanych, dobrze przygotowanych, specjalizujących się w tej czy innej gałęzi wiedzy. Ale nie można zapominać, że dziennikarstwo to życie, a młodym często brakuje życiowego doświadczenia. Ale na to nie ma rady. Trzeba się tego uczyć od każdego, kolegów, rozmówców, z przeszłości.

— Co sądzisz na temat nowoczesności naszego dziennikarstwa?

— Kiedyś tak powiedziałem. Gdyby Bolesław Prus przyszedł dziś do redakcji, czułby się jak u siebie, gdyby poszedł do drukarni byłby zaskoczony tym, co tam zobaczyłby, i zdziwiony. Rozdźwięk między poziomem poligrafii a redakcjami jest ogromny. Nasze dziennikarstwo w znacznej części jest jeszcze na poziomie chałupniczo-rzemieślniczym. Wiele dyskutujemy w dziennikarskim gronie o różnych sprawach, o nowoczesności naszej pracy też, ale rzadko zastanawiamy się nad tym, jaki jest stosunek dziennikarzy do liczby wykwalifikowanych pracowników pomocniczych. A dla mnie jest to problem kluczowy. Jeśli tego stosunku nie zmienimy na korzyść pracowników pomocniczych, wszelkie dywagacje o nowoczesności naszej pracy pozostaną tylko pobożnymi życzeniami.

— Kończąc naszą rozmowę pozwolę w imieniu Czytelników „Odgłosów" naszego zespołu, jak i w swoim własnym życzyć zespołowi „Głosu Robotniczego" coraz trwalszych kontaktów z Czytelnikami, postępu w redagowaniu gazety, sukcesów zawodowych i osobistych i aby owa nowoczesność, o której przed chwilą mówiliśmy nie pozostawała długo w sferze marzeń.

— Dziękuję w imieniu zespołu „Głosu Robotniczego".

Rozmawiał:

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Obserwując zapał do pracy u zawodniczek, ich dyscyplinę, pełne zaangażowanie oraz stały postęp byłem spokojny o ich postawę w I lidze. Proponowane przez trenera wyszkolenia ŁKS zbyt gwałtowne i nieplanowe zmiany, zwiększenia ponad normę obciążeń treningowych groziło utratą zdrowia i narażało zawodniczki na niepotrzebne kontuzje. Z tym pogodzić się nie mogłem. Brałem całkowitą odpowiedzialność za wyniki drużyny i efekty szkoleniowe. Brałem odpowiedzialność za każdą zawodniczkę kończącą karierę, że będzie zdrowa i sprawna w późniejszej pracy zawodowej.

Dążenie do natychmiastowego zwolnienia mnie po awansie do I ligi, totalna krytyka całej mojej pracy podczas konferencji prasowej (na którą mnie nie zaproszono) przez trenera wyszkolenia W. Augsburga, pracowników klubu, niektórych działaczy, musi wywołać sprzeciw z mej strony. Wypowiedzi były śmieszne i ujawniły dalszy brak kompetentnej wiedzy o pracy z drużyną. Zresztą nie mogło być inaczej, ponieważ ci ludzie nie byli nigdy na treningu, a drużynę widzieli zaledwie kilka razy w sezonie i to czasem niektórzy w mocno niezrównoważonym stanie.

Panom krytykantom, tym, którzy się wypowiadali oficjalnie, i tym, którzy robili całą złą robotę z ukrycia, nie chodziło o dobro drużyny, zawodniczek czy sekcji, lecz po prostu o zemstę na mnie za zajętą przeze mnie zdecydowaną postawę wobec nieprawidłowości i wykroczeń. Musiałem usuwać nietrzeźwego działacza sekcji z pokoju dziewcząt o drugiej w nocy przed ważnym meczem w Gdańsku. Sprzeciwiałem się zamiarom częstowania alkoholem zawodniczek, ciągłym narzucaniom cudzej woli w ustalaniu składu drużyny, nieoszczędności w finansach sekcji, krzywdzeniu zasłużonych zawodniczek wyzwiskami i pogarszającymi się warunkami treningowymi. Trzeba więc było pozbyć się takiego zacofanego trenera, żeby nie patrzył na palce.

Kiedy awans drużyny stał się faktem dokonanym na kilka kolejek przed końcem rozgrywek, zachowanie niektórych działaczy stało się agresywne i jakby tylko oni jedyni w Łodzi znali się na siatkówce. Zaczęto bez uzgodnienia ze mną kaperować zawodniczki z innych klubów, wprowadzać zmiany szkoleniowe. Zaczęło się dziać coś, co psuło dobrą atmosferę w sekcji siatkówki ŁKS.

Myślę, że gdyby w sporcie za nieprzemyślane decyzje, które kosztują sporo społecznych pieniędzy (w razie niepowodzenia) rozliczono zarówno działaczy społecznych jak i pracowników klubu, to każda zmiana byłaby przemyślana, skalkulowana i przydyskutowana. Obecnie natomiast więcej chodzi o zaspokojenie osobistych ambicji i interesów niż o społeczne korzyści. Mówi się, że praca jest obowiązkiem każdego obywatela i że jej wyniki należy właściwie oceniać.

W moim przypadku nie postąpiono zgodnie z taką zasadą. W szkole i pracy trenerskiej uczę uczciwości, rzetelności i pracowitości. W sprzeczności z tym jest postępowanie tych, którzy pokazali się jako wyznawcy cwaniactwa i wyrachowania. Byłbym w niezgodzie z zasadami uczciwości, byłbym pozbawiony odwagi cywilnej, gdybym takie postępowanie tolerował i nie walczył o sprawiedliwość i zdrową atmosferę w naszym sporcie, gdybym nie zabrał w tej sprawie głosu.

LEPIEJ MYLIĆ SIĘ NIŻ HAMOWAĆ POSTĘP

Rozmowa z prof. H. C. SIMPSONEM z University of Strathclyde

Prof. Hugh C. Simpson z University of Strathclyde w Glasgow, wybitny specjalista w zakresie inżynierii chemicznej, przebywał z wizytą naukową w Politechnice Łódzkiej, w ramach współpracy między obydwiema uczelniami.

Prof. H.C. Simpson urodził się w Stanach Zjednoczonych, w rodzinie szkockiej. Matematykę i fizykę studiował w Szkocji, a inżynierię chemiczną w USA. Połowę swego życia zawodowego przepracował w przemyśle chemicznym. Obecnie pełni funkcję dziekana Wydziału Mechanicznego i Inżynierii Chemicznej w University of Strathclyde. Specjalizuje się w zagadnieniach związanych z ciepłem, przewodnictwem i energią jądrową. Szkockiego gościa poprosiliśmy o rozmowę na temat kształcenia inżynierów.

— Jak z perspektywy 15 lat ocenia pan profesor współpracę naukową w reprezentowanej przez pana dyscyplinie między Politechniką Łódzką a University of Strathclyde w Glasgow?

— Myślę, że stanowimy przykład owocnej współpracy. Polscy naukowcy i inżynierowie są znani z wysokiego poziomu i umiejętności w prowadzeniu badań teoretycznych, my natomiast — w prowadzeniu prac doświadczalnych. Wzajemna współpraca dostarcza nam więc obopólnych korzyści. Na Zachodzie kosztowna aparatura badawcza jest łatwo dostępna, natomiast trudniej pozyskać dobrą kadrę naukową przygotowaną do obsługi takiej aparatury, do prowadzenia doświadczeń i badań. Cenimy więc sobie bardzo działalność łódzkich kolegów, którzy przebywają na stażach w Szkocji. Mamy wiele wspólnych zainteresowań. Bliskie nam są problemy badawcze prowadzone m.in. przez. prof. Czesława Strumiłło w Instytucie Inżynierii Chemicznej PŁ i prof. Stanisława Kuczewskiego w Instytucie Maszyn Przepływowych. Podczas mego pobytu w Łodzi uczestniczyłem w zebraniach naukowych i seminariach, podczas których odkryłem wiele nowych, interesujących nas zagadnień. Nie sądzę natomiast, aby ułatwiała współpracę odmienna struktura organizacyjna naszych uczelni Na przykład departamentom uczelni w Glasgow nie odpowiadają wydziały politechniki, co przysparza, niestety, trudności organizacyjnych.

— Od kilku lat toczy się w Polsce dyskusja nad programem kształcenia inżynierów, zarówno w wyższych uczelniach jak i w przemyśle. Dyskusje te toczą się głównie wokół proporcji między wiedzą ogólną, jaką powinien dysponować inżynier, a przygotowaniem do praktycznego wykonywania zawodu. Ostatnia reforma studiów stara się zapewnić kandydatom na inżynierów szersze wykształcenie ogólne. Jak wygląda to zagadnienie w programach studiów brytyjskich?

— Podczas pobytu w Łodzi przeglądałem polskie programy i muszę stwierdzić, iż mają charakter mniej specjalistyczny niż nasze. W Wielkiej Brytanii jesteśmy nastawieni na bardzo szybkie kształcenie inżynierów. Ponadto istnieją różnice między angielskim i szkockim systemem kształcenia. W Szkocji przyszli inżynierowie studiują cztery lata, w Anglii — trzy lata, ale o rok dłużej uczą się w szkole średniej. Obydwa systemy mają bardzo napięte programy studiów. Staramy się nauczyć młodzież teorii tak szybko, jak tylko jest to możliwe. Nie jesteśmy jednak zadowoleni z tej sytuacji. Staramy się poszerzyć programy o zagadnienia bardziej ogólne. Zapoznajemy na przykład studentów z operacjami finansowymi, pracą banków i służb socjalnych. Chcielibyśmy, aby studenci mieli okazję zetknąć się podczas studiów z zagadnieniami projektowania i zarządzania. Zmierzamy do poszerzenia programu studiów, podobnie jak na kontynencie. Nie są to jednak takie zmiany, o jakich pani myśli. Na przykład nasi studenci nie uczą się tak chętnie języków obcych, trudno mówić też o humanizacji studiów.

— A jak wygląda praktyczne przygotowanie studentów brytyjskich do zawodu. Na jakich zasadach organizowane są praktyki w przemyśle.

— To bardzo ważne zagadnienie i proszę mi przerwać, jeśli będę się rozwodził na ten temat zbyt długo. Studenci w Wielkiej Brytanii odbywają praktykę przemysłową dopiero po ukończeniu studiów. Pragnęlibyśmy, aby równolegle z wiedzą teoretyczną zdobywali na studiach umiejętności praktyczne. Praktyki w przemyśle wymagają jednak funduszów. Przemysł utrzymuje, że będzie kształcił studentów, jeśli otrzyma do dyspozycji odpowiednie środki. Rząd natomiast odpowiada, iż uczelnia dostaje fundusze na kształcenie, powinna więc wyłożyć również i na ten cel. Ponadto część zakładów przemysłowych, znajdująca się w rękach amerykańskich, nie jest zainteresowana praktycznym kształceniem naszych studentów. Dyskusja trwa nadal, a sprawa nie posuwa się naprzód. Odbija się to na poziomie wykształcenia. Praktyczna znajomość przemysłu pomaga przecież studentom w zrozumieniu wielu zagadnień teoretycznych. Uważam, że w programach studiów teoria powinna zajmować dwie trzecie całości. Nie byłoby problemów z praktycznym kształceniem studentów, gdybyśmy dysponowali odpowiednimi funduszami.

— Do jakich cech i umiejętności w wykształceniu inżyniera przywiązuje pan profesor szczególne znaczenie.

— Uważam, że inżynier powinien swobodnie poruszać się w zakresie wielu dyscyplin technicznych. Dla inżyniera dobrze przygotowanego w zakresie podstaw nauk technicznych nie powinno stanowić to żadnej trudności. Posłużę się tylko jednym przykładem. Ostatnio, w świecie technicznym obserwujemy całą rewolucję związaną z wprowadzaniem mikroprocesorów. Jeśli absolwent jest dobrze przygotowany do swego zawodu, to mimo iż nigdy się o nich nie uczył na studiach, będzie w stanie przyswoić sobie tę nowość na podstawie samej tylko lektury. Nie mam wątpliwości, iż inżynier umiejący myśleć w sposób techniczny, poradzi sobie z każdą pracą, której się podejmie. Poza tym zawsze powtarzam swoim studentom, iż lepsza jest zła odpowiedź niż żadna. Lepiej mylić się, niż hamować postęp.

„Cenimy sobie bardzo działalność łódzkich kolegów, którzy przebywają na stażach w Szkocji".

— Ciągle zastanawiamy się w Polsce nad kryteriami doboru kandydatów na studia techniczne. Od kilku lat, podczas egzaminów wstępnych przeprowadza się testy z matematyki i fizyki, a zwycięzcy olimpiad i prymusi przyjmowani są bez egzaminu. Tymczasem podczas studiów okazuje się, że nie zawsze ci, którzy zdali dobrze egzamin wstępny, są najlepszymi studentami, a najlepsi studenci — utalentowanymi inżynierami. Czy mógłby pan profesor podzielić się z nami swymi doświadczeniami na ten temat z uczelni brytyjskich?

— Dla nas jest to również ciągle otwarty problem. Nie bardzo ufamy wynikom egzaminów wstępnych. Ważniejsza jest motywacja, skłaniająca młodzież do wyboru studiów, zdolności i praca. Nawet bardzo inteligentny student nie ukończy studiów, jeśli nie będzie wykazywał zainteresowań technicznych. Ponadto ciągle daje się odczuć różny poziom nauczania w szkołach, w zależności od rejonu, w którym się te szkoły znajdują. Studenci, którzy ukończyli dobre szkoły i byli pod opieką najlepszych nauczycieli, osiągają dużo lepsze wyniki niż inni. Zróżnicowanie poziomu szkół jest także odbiciem nierówności społecznych. Dlatego też, powtarzam, nie ufamy zbytnio wynikom egzaminów wstępnych. Brak jest ciągle obiektywnych kryteriów. Nie widzę jednak możliwości uniwersalnego rozwiązania tych problemów.

— A jaki jest prestiż zawodu inżyniera w Wielkiej Brytanii? Czy młodzież wykazuje zainteresowania studiami technicznymi? Jak ocenia rolę inżyniera we współczesnym świecie, kiedy zdobycze techniki nie zawsze służą człowiekowi?

— Zastanawiamy się często nad tymi zagadnieniami, łączą się one bowiem ściśle z autorytetem inżyniera. Na ogół, w Wielkiej Brytanii panuje przekonanie, iż praca inżyniera w przemyśle nie ma charakteru twórczego. Wielu młodych ludzi woli studiować medycynę, prawo, dziennikarstwo, socjologię czy sztuki plastyczne, mimo iż dla przedstawicieli tych zawodów bardzo trudno o pracę. Tymczasem dla inżynierów miejsc pracy nie brakuje. Dla kompleksowej oceny sytuacji zawodu inżyniera powołano specjalną królewską komisję. W swoim raporcie komisja sugeruje m.in. powołanie stowarzyszenia inżynierów, które opracowałoby kodeks etyczny postępowania zawodowego. Nie muszę dodawać, iż zakłady pracy nie są zachwycone tą propozycją. Jednakże nie obarczajmy inżynierów zbyt wielką odpowiedzialnością na przykład za niszczenie środowiska naturalnego. Inżynier pracuje przecież w zespole i wykonuje polecenia menedżera i dyrektora, reprezentujących interesy firmy. Wyobraźmy sobie sytuację, kiedy inżynier otrzymuje polecenie, którego wykonanie pociągnie za sobą szkodliwe dla przyrody skutki. Odmowa wykonania takiego polecenia wymaga dużej odwagi cywilnej. Nie wszyscy potrafią się na nią zdobyć. To dyrektorzy i zarządzający powinni posiadać kodeks zawodowy, a nie tylko inżynierowie. Wydaje mi się jednak, że w ostatnim okresie sytuacja zaczyna zmieniać się na korzyść. Na studia techniczne i ekonomiczne zgłasza się bowiem, zwabiona możliwościami pracy, inteligentniejsza i bardziej wartościowa młodzież. Od niej zależeć będzie przyszłość techniki.

Rozmawiała:

MAŁGORZATA GOLICKA

ŁÓDŹ JAZZU PEŁNA

Dokończenie ze str. 1

swej żony siwiuteńki emeryt, bo Tartanus zaczyna śpiewać „Kiedy znów zakwitną białe bzy". A tenże staruszek krzywił się wyraźnie na „Mood Indigo" Ellingtona i zbierał do odejścia w takt „Cherokee" Noble'a. „Hagaw" wie co robi. Grepsuje? Gra pod publiczkę? Nie, po prostu dba o słuchaczy, wychodząc z założenia, że każdy w końcu musi polubić jazz.

— *To lubię!* — podnieca się w dwie godziny później brodaty student w obcisłej „panterce", trącając porozumiewawczo sąsiada, którego pytał przed chwilą: — *Stareńki, a kto dzisiaj gra?* — tamten zaś mu odpowiadał ironicznie: — *Nie wiem, jakiś polski zespół o zagranicznej nazwie!* — Teraz obaj podrygują rytmicznie na ławce, ustawionej na wprost estrady, na której dmie zawzięcie „Gold Washboard", grający dziś dla studentów przy ul. Lumumby.

— *Hot Jazz Company: „Gold Washboard" wita państwa serdecznie! Puzonista* i leader Zawistowski na tle sygnału powitalnego przedstawia swoich kolegów: trębacza Duszyńskiego, klarnecistę Bigolasa, gitarzystę Zydronia, basistę Kamińskiego i drummera Adamka. Grają ostro, w zawrotnym tempie, jakby chcieli odrobić parominutowe opóźnienie: podobno publiczność nie chciała ich puścić ze Starego Rynku, gdzie grali też pod gołym niebem.

— *I've found a new baby!* — śpiewa Zydroń, a tu do burzy dźwięków dołącza się burza oklasków. Zespół skonsternowany, bo te brawa jakby — obok! Spoglądają za wzrokiem słuchaczy, którzy namiętnie oklaskują czerstwego staruszka w niedzielnym garniturze. Ten bowiem na boku demonstruje swemu wnukowi, jak się tańczy jazz tradycyjny: krzesze siarczyste hołubce, wyczynia karkołomne wygibasy, zamaszyście klaszcze i podryguje.

Staruszek z sił opada, lecz temperatura ciągle wzrasta. „Gold Washboard" gra dynamicznie, żywiołowo, z ogromną jednak perfekcją, wzniecając szczery entuzjazm.

2.

— *Dość tej zabawy, czas wziąć się do pracy!* — kwituje w dwa dni później te festiwalowe „przedbiegi" jeden z działaczy.

Środowy wieczór. Ostatnich klientów „Jarmarku Łódzkiego" przepłasza z ul. Piotrkowskiej nagła ulewa. W bramie nr 77 stłoczył się pokaźny tłumek młodzieży. Przyszli na koncert grupy „The Quarter", a tu „bramkarze" nie wpuszczają do „Siódemek". Po chwili sytuacja się wyjaśnia: muzycy odbierali dziś paszporty na wyjazd do RFN, gdzie koncertować mają w ramach „Dni Kultury Polskiej". Urzędnikom się nie spieszyło, a teraz oni pędzą z Warszawy w deszcz i mgłę.

Są po dwóch godzinach, przepraszają, zaczynają grać. Szukalski z sopranem i tenorem, a potem nawet z klarnetem basowym, po który nie sięgał od lat. Pianista Kulpowicz, basista Jarzębski, perkusista Stefański. Kwartet okrzyknięty za najlepsze dziś polskie combo jazzowe. Sami zaś okrzyknęli się za spadkobierców legendarnego kwartetu Coltrane'a z czasów, gdy grał z Tynerem, Garrisonem i Jonesem. Nie bez podstaw, bo ich jazz, to solidna muzyka, pełna siły i inwencji, bogata i ekspresyjna, udana mieszanka „czarnego" jazzu Coltrane'owskiej prowieniencji i słowiańskiej liryki spod znaku Namysłowskiego.

Dla jazzfana — to komunały, jak oczywistością jest dla niego mistrzostwo Szukalskiego w budowaniu napięć, silny i pełny ton Jarzębskiego, swingowanie i totalne granie Stefańskiego, autentyczny „ogień" całego kwartetu.

Grają bez niespodzianek, czyli doskonale. Czy to jednak wystarcza słuchaczom? Z pozoru tak, gdyż atmosfera zagęszcza się, zachwycenie jest przepotężne i wszechogarniające, chociaż „Siódemki" to podła nora, w której trudno jest budować nastrój. Wystarcza słuchaczom z pozoru, gdyż oto pada sarkastyczna uwaga konesera: — *Phi, grają same przeboje!* — Osłuchał się pewnie z tym repertuarem.

3.

W piątek pierwszy koncert główny. W sali POSM przy ul. Sosnowej, tradycyjnym już „przytulisku" imprez jazzowych.

Atmosfera na sali z początku nudna i chłodna, jak i cały ten wieczór wypełniony smętnym kapuśniaczkiem.

Anemiczny „Antiquintet" z Torunia nie potrafi rozgrzać publiczność, mimo, że jest tegorocznym laureatem „Jazzu nad Odrą". Leader tego kwartetu Kułakowski nieźle sobie radzi z fortepianem, nad którego klawiaturą szamocze się zresztą, niemiłosiernie zgięty w pałąk. Na wiele też na pewno stać trębacza Stopnickiego, łodzianina zresztą, który grał u nas ostatnio w „Wersji 77'", lecz żeby odnieść sukces, musiał Łódź opuścić. Słuchaliśmy też już gorszych basistów, niż Wieleba, gorszych perkusistów, niż Szarmach, który dziś ma wyjątkowego pecha, bo mu ciągle wielki bęben spod nogi ucieka, próbuje więc go co rusz „przyszpilać" do podłogi śrubokrętem. Z osobna więc nie powinno być źle, w sumie jednak mniej tu grania zespołowego, a więcej błądzenia w solówkach.

— *Awangarda jest tym gatunkiem jazzu, który stwarza największe szanse przedostania się hosztaplerki!* — powiedział kiedyś, ku wielkiemu oburzeniu środowiska, sam „Ptaszyn". Czy można odnieść tę uwagę do „Antiquintetu"?

Na podobne wątpliwości nie ma jednak czasu, bo oto następny punkt programu. Łódzki pianista Henryk Cap, który zaprezentuje solowo własną kompozycję pt. „Letni wietrzyk". — *O, kurczę! Chcą nas wykończyć!* — komentuje głośno ktoś w pierwszych rzędach.

Do „Petrofa" zbliża się kompozytor. Elegancki i sztywny, wyraźnie stremowany. Nieśmiałym spojrzeniem ogarnia salę, która jawi mu się pewnie martwo i wrogo. Tylko tam, gdzieś w mroku, w środku sali siedzą jego rodzice, nie mniej pewnie stremowani. Starsi już oboje, bo i syn przecież nie licealista. — *Weteran łódzkiego jazzu!* — mawiają o nim młodsi w uznaniu jego wieloletnich zasług dla jazzu, który nie odpłacił mu się dotąd wielkimi sukcesami.

Zaczyna grać, pełen nabożeństwa dla muzyki i bojaźni przed publicznością. Sala ożywia się — wrednie, bo rozmowami. O dziwo jednak, muzyka ucisza gadatliwych, wpędza zebranych w zasłuchanie i skupienie. Czujną ciszę przerywają dopiero ostatnie akordy, po których następuje spontaniczna owacja.

Może ktoś powiedzieć, że w muzyce Capa jest trochę napuszenia i pretensjonalności, a więc i banału, przyznać jednak musi, że ogromnie tu dużo wrażliwości i wyobraźni artysty, pełnego ambicji i zapału, dla którego jazz jest świętem i sacrum zarazem. Cap przemawia do słuchacza: dwadzieścia pięć minut solowego popisu przemknęło niezauważalnie.

Jazzmani wciąż od nas uciekają. Na estradę właśnie wchodzi łodzianin, który wyjechawszy z Łodzi, szybko znalazł się w krajowej czołówce. Saksofonista Andrzej Olejniczak. Przeszedł przez „Extra Ball", „Sun Ship" i „No Smoking", skąd „podkupił" go do swojego kwintetu Kazimierz Jonkisz, wspaniały perkusista, a i nie mniej znakomity — leader.

Zaczynają od Suchanka „Stretch in blue", rozgrzewając salę do kilku interesujących kompozycji Krzesimira Dębskiego, który — nomen omen — krzesze prawdziwy ogień ze swych skrzypiec, porywając do lotu cały zespół. Imponujące warsztatem solówki Jonkisza, błyskotliwe duety Dębskiego i Olejniczaka. Znakomicie nadąża za nimi skromny basista Andrzej Łukasik — smarkul zupełny, z pierwszego roku PWSM. Absolwent warszawskiej „Elsnerówki" — Średniej Szkoły Muzycznej z ul. Miodowej, którą właśnie kończy w klasie organów Janusz Skowron, utalentowany pianista, pobierający obecnie stypendium im. K. Komedy. Ociemniały Skowron gra z ogromnym skupieniem i napięciem, równie znakomity w rytmicznym tle, jak i popisach solowych.

— *Co ten Dębski dzisiaj tak szaleje?* — pyta jeden z słuchaczy, gdy muzyk w swej „Balladzie dla Sławosza" omal skrzypiec smykiem nie zapalił. — *Jak to, nie wiesz?* — odpowiada dobrze poinformowany sąsiad. — *Dzisiaj w nocy syn mu się urodził.*

— *Sto lat! Niech żyje nam!* — rozbrzmiewa za parę godzin sala ŁDK przy al. Kościuszki 33. To publiczność, która ściągnęła licznie na „jam-sesion" wiwatuje na cześć Dębskiego. Ściągnęli też tu gromadnie muzycy.

Punktualnie o północy publiczności w kilku utworach — własnych i standardach — zaprezentował się Big-band „Dywilan", prowadzony przez Marka Łuczaka. Zaprezentował się nieźle, dając dowód, że nie jest to już bańka mydlana, która pod lada dmuchnięciem pęknie w mokrą plamę. Orkiestra jazzowa całą gębą, a raczej dwudziestką młodych gąb, rozmiłowanych w jazzie. Dyrektor „Dywilanu", Adam Junka, może mieć pełną satysfakcję: występ big-bandu, który zrodził się i istnieje dzięki pomocy Fabryki Dywanów, jest również i jego osobistym sukcesem.

Po koncertowym wstępie wkraczają do akcji „Jonkisze", którzy wciągają do współpracy niektórych „Dywilanowców", żeby wspólnie muzykować do piątej nad ranem.

4.

— *Popatrz, bracie, bomba nie z tej ziemi! Dwadzieścia cztery ścieżki! Wiesz, ile taki magnetofon kosztuje? Wart jest trzy porządne samochody!* — podniecają się młodzi chłopcy sprzętem nagrywającym, jaki w sali na Sosnowej w sobotni dżdżysty wieczór montuje ekipa Wydawnictwa Płytowego PSJ „Poljazz", która tu nagrywać zamierza nową płytę grupy „Ossian".

Na estradzie zmontowany też już jest muzyczny „kombajn" zespołu, który daje w Łodzi pierwszy po powrocie z RFN i Holandii koncert. Ostatni przed wyjazdem koncert również mieli w Łodzi, o czym nie omieszkał wspomnieć Jacek Ostaszewski — szef „Teatru Fruwającej Ryby".

Egzotyczno-komiczne (bo i garnek, i różne „przeszkadzajki") instrumentarium grupy idzie w ruch. Oryginalna muzyka skupia na kilkadziesiąt minut uwagę publiczności, nastawionej zresztą od początku na: tak! „Ossian" lubi Łódź, bo Łódź lubi „Ossiana". Nie tylko Łódź. Popularność tej — nie najłatwiejszej przecież — muzyki, jest niezaprzeczalna.

— *Nie sięgamy po doskonałość, lecz dążymy do naturalności"* — przypominam sobie tę i podobne deklaracje Ostaszewskiego, a teraz patrzę na jego inteligentną twarz i odnoszę wrażenie, że mruga do nas. Milo Curtis szaleje na instrumentach perkusyjnych, Wolski brzdąka na bandurze, Waglewski pojękuje cuicą, Nowakowski miota się nad congami i bongosami, Ostaszewski zaś odkłada flet bambusowy i tłucze w garnek. Najzwyklejszy, nawet jeszcze etykietkę ma ze sklepu.

O, a teraz Ostaszewski zaczyna śpiewać. Dziwne to śpiewanie: krzyżówka zawodzenia muezina i melodeklamacji arabskiego przekupnia, mamrotu pracującego buszmena i karnawałowych śpiewek latynosa, na które nakłada się coś w rodzaju „field holler". W ogóle to muzyczny brekekeks, sprytna hybryda nie jednorodnych elementów — czerpanych z muzyki hinduskiej i arabskiej, afrykańskiej i latynoskiej — stopionych w spójny, barwny amalgamat, który lśni niczym najszczersze srebro. O, właśnie Ostaszewski smętnie „pituli" na flecie, jak pastuszek, co za wołkami chadza. A więc i słowiańszczyzny doszukać się można, a i motywów bałkańskich. I wielu, wielu innych rzeczy, które „Ossiana" są. A skąd ten sukces? Ano, snobujemy się — i my w kraju, i my na świecie — na różne tam orientalizmy, zeny i korany, buddaizmy i afrykanizmy, „Ossian" zaś europeizuje je, przetrawia i uzdatnia, serwując smakowitą papkę a lá orient.

Po fajerwerku egzotycznych dźwięków niezwykle trudne ma zadanie duet Krzysztof Zgraja i Jacek Bednarek. Flet i kontrabas. Fujarka i basetla. Żadne tam kpiny, bo tandem to imponujący. Piękna artykulacja i znakomite wyczucie kontrabasu, który w połączeniu z nieprawdopodobnie sprawnym technicznie fletem zamienia się momentami w małą orkiestrę.

— *O skurczybyki!* — pada z sali zachwycony wykrzyknik, kiedy muzycy zaczynają improwizować na temat „Autaumn Leaves", w chwilę zaś później robią „Fiestę" Corei, a przecież wszyscy wiedzą, że potrafią oni z tych skromnych instrumentów wyczarować wiele: od klasycznego bluesa poprzez standardy po kompozycje własne...

— *„Sami Swoi" — das heist auf polnisch: eine Gruppe alter Bekannter, guter Kollegen, die siech dort wohl fuechlen!* — i tak dalej, i tym podobnie zapowiada kolejnych wykonawców doborowa para konferansjerów: Tomasz Bieszczad i Janusz Wiśnioch.

Radość na sali, bo celna to kpinka z tego renomowanego zespołu, który swoją profesję traktuje na absolutnym luzie: na Parnas się nie pcha, nie obnosi jazzowego posłannictwa z cierpiętniczymi minami, lecz bawi się w najlepsze, bawiąc publiczność, o której względy umiejętnie zabiega, nie tylko repertuarem, ale i reklamą.

Środowisko pomstowało na nich, że się komercjalizują, w końcu jednak dało się rozbroić. Poddali się nawet i ci puryści, którzy mieli im za złe programowe mydło i powidło.

Totalne granie Janusza Stefańskiego z grupy „The Quartet"...

Foto: Grzegorz Szymański

Przestano się ich w końcu czepiać, bo okazało się, że wytrawny leader — i trębacz — Julian Kurzawa potrafi poprowadzić swój nowy skład (ze starego tylko puzonista Młynarczyk i gitarzysta Sorski się ostali) we wszystkich kierunkach z równym powodzeniem i równą perfekcją. Zgromadził on bowiem specjalistów. I tak, jak trzeba w stronę soulu, to tenorzysta Kowalski prowadzi „orkiestrę". Swing? Proszę bardzo, tenorzysta Górecki wystąp! Jazz-rock? Już się robi, pianista Szprot przesiada się do „Fendera".

Grają z „drivem". Mundiego „Take it easy", Warrena „9'20 special", Garlanda „In the mood", a i „Spain" Corei. Ba, nawet Hermannowskich „Four Brothers", w których puzon Młynarczyka zastępuje czwartego saksofonistę.

A, że wszyscy to jazzmani z prawdziwego zdarzenia, dowiodła niezbicie nocna sesja przy al. Kościuszki 33, gdzie „Sami Swoi" wespół z tandemem Bednarek-Zgraja zagrali najprawdziwszy, stuprocentowy, spontaniczny „jam". Nikt tu nie pogrywał standardów, czy gotowych kompozycji. Ot, po prostu to jeden, to drugi podsuwał jakąś frazę, jechał jednym jedynym chorusem, a potem reszta — razem i z osobna — osnuwała to misterną i delikatną pajęczyną jazzowej improwizacji. I tak rodził się prawdziwy dobry jazz, aż do bladego świtu.

Był jeszcze w sobotę jeden występ: koncert grupy „NOVI", który jednak pomijam, bo srodze rozczarował słuchaczy. Wspomnieć za to muszę o balu jazzowym pod „Siódemkami". Bal to był najprawdziwszy: długie suknie, ciemne garnitury i cztery godziny swingu w wykonaniu arcysympatycznych i utalentowanych chłopców zespołu „Jazz Day". Zdobył on w tym roku „Złotą Tarkę", firmowany zaś jest przez słynny wrocławski „Pałacyk", (o, łódzki „Pałacyku" rumień się ze wstydu!).

5.

— *Wie pan, nie spodziewałem się, że tegoroczne spotkania dostarczą nam wszystkim takiego przeżycia!* — stwierdza Tomek Bieszczad w antrakcie, kiedy nie ochłonęliśmy jeszcze po godzinnej eksplozji temperamentu i zapału, energii i ambicji, ogromnej sprawności i zachwycającej perfekcji, wspaniałego zespołowego grania w wykonaniu big-bandu z Chicago, który gościnnie okrasił łódzki festiwal.

„Northeastern Illinois Uniwersity Jazz Ensamble" — taką nosi nazwę ten 20-osobowy zespół, w skład którego wchodzą studenci chicagowskiego uniwersytetu nie tylko z muzycznych (!) wydziałów. Są to Portorikańczycy, Kubańczycy, Włosi, Skandynawowie — z pochodzenia, a i jeden Japończyk, a nawet i Jim Kosiek — puzonista o polskim rodowodzie. Orkiestrę prowadzi czarnoskóry dr Aaron Horne, nomen omen, bo przecie w uniwersalnym języku jazzowym „horn" — to „dęciaki", a one właśnie są tu najważniejsze.

— *Zawsze starałem się robić, co lubię, a bardzo lubię grać jazz!* — powiedział kiedyś kornecista „Wild" Bill Davison. I ta dewiza jest znakomitą ilustracją spotkania z chicagowskim zespołem. Wystarczyło popatrzeć, jak niecierliwią się, czekając aż leader da im pograć, wypuści na solówkę, albo chociaż w „riffie" da podmuchać. I ta perfekcja, precyzja, nieomylność, celność. To sumienne, doskonałe przygotowanie.

Radosne rozbrykane źrebaki, a zarazem — ogromna dyscyplina, tak w muzyce, jak i poza estradą. To oni czekali na publiczność, a nie publiczność na nich. Przeżywali zaś swój występ, jakby na skromnej sali przy ul. Sosnowej zebrali się wybitni jurorzy festiwalu w Newport, a nie zwykli, przeciętni miłośnicy jazzu.

Obopólna też radość — i muzyków, i publiczności — wynikła z ich grania na kolejnym „jamie" w sali byłego „Domu Środowisk Twórczych". „Jam" był ze wszech miar udany, bo i muzycy z Chicago, instrumentaliści z Chicago, i wreszcie — trio Muniaka.

Janusz Muniak — to gwiazda niedzielnego koncertu na Sosnowej. Zaskakuje publiczność, oczekującą kwartetu, triem w składzie: Muniak — wiadomo, Sadowski — organy Hammonda i Bezucha — perkusja.

Pamiętamy, jak Muniak — ten wspaniały sideman od Komedy, Trzaskowskiego, „Ptaszyna", czy Stańki — dał się wreszcie namówić na firmowanie grupy własnym nazwiskiem. Wystartował z kwintetem, zdobywając powszechny poklask. Potem ciągnął w kwartecie, a tu nagle — „Muniacy" rozsypali się. Nowa konstelacja, to rezultat nieustannych poszukiwań, oby ciągle owocnych. Na razie niepokoi pewna zbieżność z niegdysiejszym „Mainstreamem" „Ptaszyna" Wróblewskiego, gdzie na Hammondzie grał Karolak, którego na szczęście więcej dzieli z Sadowskim, niż łączy. Muniak zresztą to silna indywidualność z wyrobionym „emploi" muzycznym.

Po niespodziankowym trio — niespodzianka kolejna. Nadprogram, który Łódź zawdzięcza niespożytemu Maćkowi Jaworskiemu, prezesowi Łódzkiego Klubu Jazzowego. Udało mu się ściągnąć na dwa koncerty „Extra Ball", którego twórca i leader Jarosław Śmietana po długich poszukiwaniach znalazł się na etapie stabilizowania nowego składu i nowego brzmienia tej bezsprzecznie znakomitej grupy.

— *Popatrz, jakie mają buty!* — odzywa się mój sąsiad do swojej dziewczyny, która rezolutnie wyjaśnia: — *Te szerokie nosy i surowy jucht, to moda amerykańska, a my ze swoimi szczupłościami pozostajepod wpływem włoskim.*

Dziewczyna ma może rację, zwraca zaś przy tym uwagę, że „Extra Ball" powrócił właśnie z „trasy" po Stanach Zjednoczonych i prezentuje się w swoim „amerykańskim" składzie: Kawończyk — trąbka, Groborz — piano, Fender, Dębski — gitara basowa i Budziaszek — bębny.

Zaczynają, a raczej zaczyna na gitarze sam Śmietana, znów — nie po raz pierwszy na tej sali — lecą „Autaumn Leaves". Burza oklasków. I tak przez cały czas, zarówno po dynamicznym „Go ahead" Śmietany, jak i lirycznej „Naime" Coltrane'a.

— *Pozwolimy sobie przedstawić państwu suitę w trzech częściach. Pierwsza nosi tytuł: „Ciężka dola chłopa". Wykona ją Krzysztof Ścierański. Druga: „Ciężka dola baby". Wykona, któż inny, jak nie ja? Trzecia wreszcie część — „Lot z bąkiem" — w wykonaniu całego zespołu oparta jest na motywach folkloru mongolskiego, a ściślej według Rymskiego i Korsakówny!* — zapowiada kolejny utwór Marek Stryszowski z grupy „Laboratorium", która zamyka swoim występem zasadniczą część tegorocznych „Łódzkich Spotkań Jazzowych", stanowiąc swoisty pomost łączący je z wyznaczonym na 9 czerwca koncertem pn. „Muzyka Młodej Generacji".

Zanim zaczynają grać, część — niewielka zresztą — publiczności opuszcza salę, manifestując pogardę dla tego pogranicza, które reprezentuje zespół Janusza Grzywacza, klasyfikujący się z wyboru w szufladce z napisem: „jazz-rock". „Laboratorium" gra na płytach — więcej jazzu, na koncertach zaś — więcej rocka. Taka jest pewnie recepta na sukces przepisana przez doświadczonego leadera grupy, która zdobyła ogromną popularność i ma tego pełną świadomość. Na laurach jednak nie spoczywa, ciągle ma do zaproponowania coś nowego.

Przed chwilą — na przykład — wykonali utwór pt. „Futro z kaczki", kompozycji Grzywacza, który ze spokojem obsługuje instrumenty klawiszowe, produkując na „Fenderze" i „Moogu" nader oryginalne brzmienia. Bezbłędnie podążają za nim gitary braci Ścierańskich i perkusja początkującego Mrowca. Na to zaś wszystko nakłada okrągłe dźwięki saksofonu Stryszowski, który zaraz zresztą odstawi alt, aby emitować przez mikrofon i kamery pogłosowe istną lawinę zaśpiewów, jakie nie dają się ponoć zakwalifikować do wokalizy jazzowej. Tym się jednak martwią specjaliści, a nie sam Stryszowski i jego koledzy z „Laboratorium", którzy z powodzeniem „mrugają" z estrady do swojej publiczności różnymi tam „Lotami z bąkiem"...

I tak oto dobiegają końca kolejne „Łódzkie Spotkania Jazzowe", dzięki którym chociaż raz w roku jest Łódź jazzu pełna.

— *O, przepraszam* — protestuje Maciej Jaworski. — *A łódzka edycja „Jazz Jamboree"?* — I wie, co robi, bo znów, jesienią, w sali na Sosnowej...

JACEK INDELAK

Na początek dwa przesłania:

PRZESŁANIE I

Panienka: Międzymiastowa 624 — słucham.
Reporter: Mój numer 340-66 — poproszę Siemiatycze 26-85.
Panienka: Przyjęłam, ale jaki to kierunek?
Reporter: Na wschód, proszę pani, na wschód.

PRZESŁANIE II

Andrzej Mularczyk: — Wie pan, ja z reguły nie biorę od lat udziału w żadnych spotkaniach. Ostatnio zrobiłem tylko jeden wyjątek i pojechałem do Siemiatycz, ze względu na moje przyjaźnie.

I tak to już jest — jedni pytają kaj te Siemiatycze leżą, z drugiej zaś strony Bóg jeden wie, kto nie jest z tym miasteczkiem zaprzyjaźniony. A przecież jeszcze nie tak dawno nie było ani sympatyków, ani przyjaciół. Mieścina żyła swoim zapyziałym życiem. Jedynie co światlejsi mieszczanie wołani na alarm, przywodząc na pamięć czasy historycznej świetności..., że to i sam pan Sienkiewicz Kmicicowi drogę przez Siemiatycze wytoczył, kiedy to z borów do Częstochowy z Kiemliczami jechał..., że w XVIII w. Anna z Sapiehów Jabłonowska do świetności wielkiej gród przyprowadziła..., że w powstaniu styczniowym lewa część miasta nad Kamionką została zniszczona.

I Bogiem, a prawdą, do początku lat siedemdziesiątych Siemiatycze z onego styczniowego pogromu dźwignąć się nie mogły. Tym bardziej, że II wojna dołożyła swoje i 62 proc. miasta w niwecz obróciła.

Raczej minorowe miny mieli mieszkańcy Siemiatycz, kiedy 12 stycznia 1974 roku ukazał się 11 numer „Gazety Białostockiej".

„Nikt nie lubi Siemiatycz" — tymi słowy rozpoczynali swoje „Opisanie miasta Siemiatycze" — autorzy artykułu — **„...bo za co lubić kilkanaście zapyziałych uliczek? Powiatowe miasto utytłane po dachy, w zaniedbaniu i apatii, za co je lubić? Z tą następną oceną sklejoną z przygodnych rozmów i opinii rozsianych szeroko, wchodziliśmy do Siemiatycz dla dokonania reporterskiej egzekucji".**

Ja wjeżdżałem do Siemiatycz w pięć i pół roku później — nie znając żadnych opinii, a i reporterska egzekucja czy zwiad nie były mi w głowie. Jechałem do Siemiatycz wypocząć. Ale po pierwszej rozmowie z Wiesławem Szyszko — pociągnęło wilka do lasu — począłem baczniej rozglądać się po jego gminie. To właśnie I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR — Wiesław Szyszko pokazał mi numer „Gazety".

— Od tego się wszystko zaczęło — powiedział.

„Jeszcze przed trzema laty — pisali reporterzy — **miasto nie miało ani jednego metra asfaltu na ulicach, ani centymetra wodociągu i kanalizacji. Do dziś nie ma miejskiej pralni i łaźni, hotelu, żłobka, przyzwoitej restauracji i tak dalej...".**

Nie wiedziałem nawet jeżdżąc po siemiatyckich ulicach, że asfalt na nich tak młody. Położony jest już wszędzie. Wodociągi doprowadzono do wielu mieszkań i bloków. Zresztą w pierwszej pięciolatce lat siedemdziesiątych nie wybudowano ani jednego mieszkania, w drugiej 750, tzn. więcej niż dotychczas mała spółdzielnia mieszkaniowa.

Towarzysz sekretarz pokazuje mi swoje nowe mieszkanie w bloku. Cztery pokoje nie najlepiej wykończone przez budowlanych. Kiedy zwracam mu uwagę na usterki słyszę w odpowiedzi:

— Przecież my nie mamy ani złotówki, w tzw. puli miejskiej.

— To jak to powstało?

— Zwożą wszyscy, co mogą i skąd mogą i jakoś idzie ten temat.

„Temat" hotelu, żłobka i restauracji też rozwiązali. Na rozdrożu szlaków do Lublina i Warszawy stoi zajazd „Pod Kmicicem", obok placu głównego zaprasza restauracja „Oleńka". Przywykli już do tych obiektów, przywykli tak bardzo, że nawet nie zawsze widać istniejące w nich braki w wyposażeniu pokoi w „Kmicicu", w zaopatrzeniu kuchni zajazdowej, gdzie rano brak masła lub jajek. A tu przecież apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Czytam dalej „Opisanie Siemiatycz":

„Ówczesny naczelnik miasta Zbigniew Radomski przyznaje, że istniały trzy przyczyny hamujące rozwój miasta — generalny bałagan w gospodarce komunalnej, brak planu przestrzennego zagospodarowania miasta i fatalny bałagan w rolnictwie...".

GAZETA BIAŁOSTOCKA: — Nawet w rolnictwie?

ZBIGNIEW RADOMSKI: — Oczywiście. W Siemiatyczach mamy 625 rolników i 2500 hektarów gruntów rolnych. Do września 1973 roku były to grunty rozbite na półka i poletka nierzadko o półtorametrowej szerokości i na trzy kilometry długie. Jak można było mówić o rolnictwie? We wrześniu ubiegłego roku zakończona została komasacja, a przy okazji „zalesiliśmy" 500 hektarów wspólnoty miejskiej i 30 ha pomiędzy ulicą Słowiczyńską a Górną na domki jednorodzinne.

— Różnie wtedy bywało — wspomina Wiesław Szyszko — **przeszedłem właśnie do pracy w Powiatowej Radzie Narodowej najpierw jako zastępca kierownika wydziału rolnictwa, a potem jako wiceprzewodniczący PRN do spraw rolnictwa, czy wreszcie sekretarz rolny i razem z Radomskim scalaliśmy grunty. 42 tysiące hektarów czyli jedną czwartą całości. To była robota. Każdy przecież chciał dostać jak najlepszą ziemię a tu trzeba było jakoś wypośrodkować.**

Pamiętam we wsi Chanie Chursy był tylko jeden kawałek ziemi klasy IVb, dokładnie 1 ha 27 arów. Jasne, że mógł to dostać jeden gospodarz, a pozostali gorszą i już były kwasy. Tym bardziej, że lepsze grunty dawaliśmy tym, rokującym nadzieje. Skóra cierpnie jak wspominam co się działo. Ludność powiatu to wtedy, nagle wzrosła o kilkaset osób. Każdy kto tam miał jakiś skrawek w spadku to przyjeżdżał z Polski i dawaj nagle gospodarzyć.

Oj, różnie było, różnie. Kamienie za nami leciały nieraz. Ale było, minęło. Teraz trzeba by nową komasację robić dla SKR, bo bo obecnie mają 1000 hektarów w 300 kawałkach. Myślę, że pójdzie łatwiej.

ZBIGNIEW RADOMSKI: — Cztery lata temu w programie działania MRN postanowiliśmy ostatecznie: Siemiatycze muszą mieć wodociągi. W sytuacji gdy stawiamy na hodowlę, ogrodnictwo i warzywnictwo, tylko woda z kranów rozwiązuje sytuację, bo u nas studnie trzeba było kopać na 35 metrów i więcej.

„G.B.": — Powiedział pan, że stawiacie na warzywnictwo. Ze źródeł historycznych wiemy, że w osiemnastym wieku — tu cytat — „uprawiano w Siemiatyczach bób, szpinak, trybulkę, sałatę, kapustę, kalarepę, szczaw, groch, fasolę, cykorię, marchew, kalafiory, pieruszkę, cebulę, sclery, pasternak, rzodkiew, szparagi, jarmuż, koper, buraki, ogórki". Co uprawia się dzisiaj w Siemiatyczach?

Z.R.: — Trafniej byłoby spytać: ile się uprawia? I od razu odpowiadam, że mało. Przez miedzę mamy województwo warszawskie i ogrodników w Sarnokach: ci zawalają Siemiatycze swoimi warzywami, a że sprzedają je taniej — rujnują naszych.

„G.B.": — To wolny rynek, ale jest przecież Rejonowa Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska w Bielsku Podlaskim, która powinna kontraktować uprawy.

Z.R.: — To jest prawie tak samo jak z WSS. Obiecywali złote góry — nie włożyli w miasto przez wiele lat ani złotówki, a potem dziwią się strasznie, że na walnym zgromadzeniu nie było dyskusji. Ale to już „drobniejsze sprawy.

Kiedy pytam panienkę na poczcie w Siemiatyczach dokąd ludzie zamawiają rozmowy, odpowiada, że często bardzo daleko, nawet do Hongkongu, ale najczęściej to łączy teraz zagraniczne z Włochami. Wszystko przez ten „Hortex", co go Włosi budują.

— Trochę trzeba było powalczyć o ten zakład — wspomina znów sekretarz — **miał być w Siemiatyczach lub Bielsku, ale się udało, że u nas. Dużo, bardzo dużo zyskujemy w tym „temacie". Mogę wyliczyć na palcach:**

1. zatrudnienie
2. pieniądze dla wsi, bo warzywa i owoce to nie żyto
3. oczyszczalnia ścieków także dla miasta
4. rozwój mieszkaniówki
5. ciepłownictwo — zamiast 74 małych kotłowni będzie jedna duża — oszczędność energii i ludzi
6. energetyka — nowa trafostacja oznacza uniezależnienie miasta
7. hotel na potrzeby zakładu — później miasta.

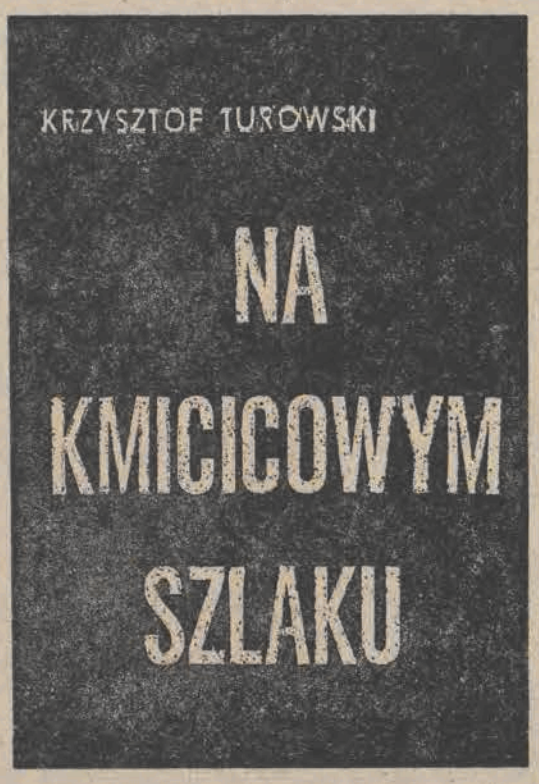

Wiesław Szyszko nie dodał, że i Włosi też sporo twardych w Siemiatyczach zostawili (miejscowy sklep „Pewexu" notuje wzmożone obroty) i kilka złamanych serc, choć podobno czwarta panienka szykuje się już do wyjazdu na stałe nad Adriatyk.

Obecność „Hortexu" odczuć można także w miejscowych restauracjach. Z surówek serwują tylko kwaszoną kapustę i marchew, na zmianę. Widać wszystko już sprzedali na pniu do zakładu.

Zagłębiam się dalej w lekturę.

ZBIGNIEW RADOMSKI: — Ciągle się mówi, że Siemiatycze to, że Siemiatycze owo, że takie, że owakie. Panowie! Przecież od wyzwolenia do 1969 r. na gospodarkę komunalną wydano w tym mieście 9 mln złotych. Przez 25 lat dobra wieś wydaje więcej.

„GAZETA BIAŁOSTOCKA": — A ile wydano na ten sam cel w tym roku?

Z.R.: — 17 milionów.

„G.B.": — Kto za to ponosi odpowiedzialność?

Z.R: — Załóżmy, że nie wiem.

Zadałem to samo pytanie Wiesławowi Szyszko.

Odparł wymijająco: — Nie było klimatu.

— A teraz jest?

— Siemiatycze mają sprzyjający wiatr i chyba sobie nań zasłużyły, a poza tym jest „System gospodarczy". Zresztą fakty mówią.

I Wiesław Szyszko znów wylicza sukcesy ostatnich lat:

1. supersam
2. SDH
3. CRS
4. „Kmicic" i „Oleńka"
5. restauracja GS w rynku będzie w tym roku
6. centrala automatyczna
7. zaplecze WZSR
8. szpital
9. Kolumna Transportu Samochodowego
10. żłobek na 150 miejsc w tym roku
11. nowa szkoła z mieszkaniami dla nauczycieli
12. przedszkole zbudowane systemem gospodarczym.
13. w tym roku także Stacja Obsługi PZMot.
14. nowa stacja benzynowa
15. I etap zalewu 6,5 hektara — to efekt Banku Miast.

Tym razem zabrakło palców.

Raz jeszcze wracam do „Opisania Siemiatycz".

G.B. — Cóż na to wszystko aktyw miasta?

Z.R. — Jaki aktyw? Co to za aktyw, któremu wystarcza 360 tysięcy złotych rocznie na potrzeby miasta.

G.B. — No a ludzie? Przecież w każdym mieście znajduje się przynajmniej kilku sprawiedliwych o społecznikowskim zacięciu.

Z.R. — Są i tacy u nas. Miłkowski, Nowicki, dziesiątki innych. Gromadzą pamiątki, zbiory dla przyszłego muzeum. Chcieli założyć kilka lat temu Towarzystwo Miłośników Siemiatycz.

G.B. — Ale oczywiście nie założyli.

Z.R. — Tak. Oczywiście, ba, na zebranie założycielskie wszedł dostojnik i zapytał: „Co kółko różańcowe chcecie zakładać?" Dawne czasy... Ale miasto na tym cierpi do dziś.

Towarzystwo Miłośników Siemiatycz zatwierdzono wreszcie w miesiąc po ukazaniu się artykułu, a w dwa lata później otwarto Muzeum Regionalne z galerią obrazów Józefa Charytona — miejscowego malarza o szerokiej renomie.

Trudno powiedzieć czy wszyscy siemiatyczanie, ale spora ich część poczuła te przyjazne wiatry wiejące z północy od KW i z zachodu od Warszawy, poczuła i podsyca, rozdmuchuje aby przypadkiem nie ucichły. Podkreślają wszystko co siemiatyckie i szukają popleczników gdzie się da. Trzeba było na przykład widzieć tę różnorodność rejestracji samochodowych na zjeździe absolwentów miejscowego liceum. Trzeba było słyszeć z jaką atencją wyrażał się o swym grodzie rodzinnym Stefan Treugutt — uczestnik owego zjazdu.

Ci sami autorzy, którzy „Opisywali miasto Siemiatycze" w kilkanaście tygodni później zareplikowali swoje wystąpienie artykułem „Wstawanie z kolan" dając do zrozumienia, że są pełni wiary w siemiatyczan i że na dobry ład to określenie zawarte w tytule jest trochę przesadzone, bo mieszkańcy grodu nad Kamionką szybko się wyprostowali i zupełnie im w tej postawie dobrze.

Dużo było przesady w tym drugim wystąpieniu, bo przez trzy miesiące to nie tak łatwo zmienić pozycję, ale kiedy patrzę na Siemiatycze dziś i porównuję z owym „opisaniem" to niewątpliwie chodzą już oni mocno na dwóch nogach, chodzą i zgarniają nagrody gdzie się da. Na 47 mln nagród w województwie białostockim — Siemiatycze zgarnęły ponad jedną czwartą.

Ale...

Ale tak mi się czasami zdawało jakby ta wyprostowana postawa momentami się chwiała. Jakby ją ciągnęły do dołu kilogramy „tumiwisizmu", a czasami niemocy. Ta beztroska kelnerek w restauracjach oznajmiających, że nie ma jajek, bułek, mleka czy masła. Ta beztroska kierownictwa GS, że w zajeździe u „Kmicica" pokoje straszą wyglądem. Te obiecanki WPHM, że poprawią wygląd sklepów, a tymczasem meblowy wygląda jak graciarnia, a jego zaplecze to buda sklecona z desek.

Te odstraszające przybysza okolice dworca PKP. To wreszcie, że cały czas aby coś zdziałać muszą siemiatyckie władze przyszywać marynarkę do guzika.

Przodujący rolnicy chcą rozwijać gospodarkę, hodowlę, chcą inwestować i... nie mają w co. Brak materiałów budowlanych, brak maszyn.

— **...I pasz** — dodaje Wiesław Szyszko. — **Badaliśmy laboratoryjnie zawartość azotu w paszach i okazało się, że są poniżej normy. Jak tu mówić o plonach.**

— Do tego dochodzi wielość programów — ciągnie Wiesław Szyszko. — **Każda instytucja ma swój, a jeden do drugiego nie przystaje. Wystarczyłby jeden nasz miejsko-gminny. Postawiono nas tu po to, abyśmy znali teren i jego potrzeby rozwiązywali. No i nic nie stoi na przeszkodzie, tzn. nie stałoby, gdyby nie ta papierkowa gonitwa.**

Tak... Postawę wyprostowaną to siemiatyczanie już mają i z kolan wstali dawno. Nawet apetyt im się poprawił. Jak wszystkim.

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

UWAGA NA OLECHÓW I INNE

Nie tak dawno na łamach „Odgłosów" („Pociągi bez specjalnego nadzoru" i „Wybieram mniejsze zło") poddałem krytyce pracę i stosunki panujące na stacji rozrządowej PKP Łódź-Olechów. Na dobrą sprawę można byłoby w podobny sposób opisać większość węzłów PKP w kraju i nie byłoby w tym zbytniej przesady. Kolejnictwo jest bardzo poważnym działem gospodarki, a ze względu na swoją społeczną działalność jest surowo rozliczane tak przez instytucje i zakłady korzystające z jego usług, jak i przez indywidualnych użytkowników czyli pasażerów.

Moje publikacje wywołały żywy oddźwięk w środowisku kolejarskim. Z jednej strony poczuły się dotknięte osoby ponoszące odpowiedzialność za to, co udało mi się wynieść na światło dzienne, z drugiej zaś strony do redakcji zaczęły napływać listy od kolejarzy, którzy uważali, że dobrze się stało, iż ktoś wreszcie ruszył ten temat. Co ciekawe, listy nadeszły nie tylko z Olechowa, lecz także z innych placówek kolejowych i dotyczyły kluczowej sprawy: pijaństwa w czasie pełnienia obowiązków.

Ponieważ temat pracy stacji Łódź-Olechów nie został wyczerpany całkowicie w moich publikacjach, uznaliśmy w redakcji za konieczne zaprosić do udziału w rozmowie ludzi zainteresowanych opisywanymi sprawami.

Ze strony Dyrekcji Rejonowej Kolei Państwowych udział wziął dyrektor **Tadeusz Sieradzki** oraz naczelnik działu ruchu DRKP, **Zygmunt Łuszczykiewicz,** stację Łódź-Olechów reprezentowali: zastępca naczelnika **Andrzej Karpiński,** sekretarz komitetu zakładowego PZPR — **Marian Mroziński,** sekretarz POP stacji Olechów — **Wojciech Strzelecki,** przewodniczący zarządu zakładowego ZSMP — **Włodzimierz Pietrasik,** a posterunek Milicji Obywatelskiej na stacji Łódź-Olechów reprezentował por. **Jerzy Kopczyński.** Ponadto zaprosiliśmy do udziału w rozmowie z-cę prokuratora wojewódzkiego w Łodzi — **Jacka Rządkowskiego** oraz prokuratora dla dzielnicy Łódź-Widzew, **Pawła Wyrwasa.**

Redakcja uważała, że publikacje zamieszczone na łamach „Odgłosów" są nie tylko informacją, że dzieje się coś niedobrego, lecz staną się dla władz centralnych sygnałem, że łódzka DRKP wymaga niezwłocznej i solidnej pomocy.

Nasze przewidywania potwierdziły się w toku dyskusji. Większość przedstawicieli PKP ze zrozumieniem przyjęła krytykę, wskazując jednocześnie na trudności obiektywne, często niezależne od dyrekcji czy naczelnika stacji. Motywem przewodnim były dwa zagadnienia: ludzie i inwestycje. Zarówno stacja w Olechowie, jak i pozostałe w węźle łódzkim przeżywają trudności kadrowe. Zatrudnia się ludzi z ościennych województw: piotrkowskiego, skierniewickiego, sieradzkiego, płockiego, a nawet z poznańskiego. Nie zawsze jest czas na pracę wychowawczą, stąd pijaństwo, dewastacje urządzeń, kradzieże, opuszczanie miejsca pracy. Są częste zwolnienia dyscyplinarne, choć nie zawsze udaje się znaleźć kandydata na opuszczone miejsce. Pijaństwo na kolei jest szczególnie niebezpieczne: pociągi przewożą nie tylko węgiel czy cement, ale i ludzi. Dlatego istnieje pilna potrzeba wzmożonego wysiłku ze strony organizacji politycznych, związkowej, służb społecznych, kierownictwa stacji. Sprawy te były podnoszone kilkakrotnie i pracownicy PKP zapewniali, że dołożą wszelkich starań, by wyższa stała się jakość pracy na PKP.

Drugim poważnym zagadnieniem okazały się inwestycje. Wiadomo, że kiedy w kraju budowaliśmy domy dla ludzi i nowe huty, kiedy odbudowywaliśmy miasta i porty, kolej nie miała priorytetu wśród innych gałęzi gospodarki narodowej. Stąd brak funduszy na inwestycje, na odnowienie taboru. A zadania rosną z roku na rok. Kiedyś udział wagonów 4-osiowych na stacji Łódź-Olechów wynosił zaledwie kilka procent, dziś połowa wagonów tu przychodzących to właśnie te 4-osiowe. Dawniej z górki rozrządowej toczył się wagon 30 tonowy, dziś — 80-tonowy, choć środki hamowania są te same. Kiedyś w Olechowie w ciągu doby przyjmowano i wysyłano 2.800 wagonów, dziś ta liczba jest znacznie wyższa. Nie jest tajemnicą, że brakuje nam dobrych, nowych wagonów, że są takie, które ze względu na swój stan posiadają ograniczoną szybkość, a które mimo to wstawia się do szybkich składów. Skutki tego są często dość opłakane. W Olechowie służby kolejowe usiłują takie wagony wyeliminować, dołączyć do właściwych pociągów i dlatego zdarza się, że wagony stoją tu dłużej niż zwykle. Inna sprawa to szyny i podkłady, których także brakuje. Jest to stan na dziś. Takie są potrzeby chwili bieżącej.

Z dyskusji wynikało jedno: jest potrzebna szybka pomoc inwestycyjna, bowiem Olechów to nie tylko przecież Łódź, to całe kolejnictwo, gdyż nic tu nie może istnieć w oderwaniu, samo dla siebie. Na węgiel, cement, chemikalia czekają porty, wielkie elektrownie, nowe budowle. DRKP w Łodzi boryka się z przedstawionymi powyżej trudnościami nie tylko w Olechowie. Szybkiej pomocy potrzebują stacje kolejowe w Piotrkowie, na Widzewie, w Kutnie... A przecież stąd, ze środka kraju dzień i noc wysyła się i przyjmuje ponad 44 tys. ton ładunków! Tego nie robi żadna inna dyrekcja.

Sądzę, iż wnioski z tej gospodarskiej i rzetelnej rozmowy będą miały swój dalszy ciąg w codziennej pracy kolejarzy, pomoże im to w pełnieniu odpowiedzialnej, i nie zawsze lekkiej służby, że być może przyczyni się do wyzwolenia twórczych inicjatyw, które pozwolą usprawnić prace PKP.

EUGENIUSZ IWANICKI

NIM NASTAŁ TAKI DZIEŃ...

Dalszy ciąg ze str. 1

Wśród władz wojskowych byłego Królestwa Polskiego padło nawet podejrzenie, że wojsko zachowuje się biernie wobec rewolucyjnego zrywu ludności. Do Łodzi przyjechała specjalna komisja dla zbadania zarzutów, a oficer do specjalnych poruczeń przy dowódcy wojsk Warszawskiego Okręgu Wojskowego generał-major W. Orłow w raporcie o wynikach pracy komisji donosił o dwóch wypadkach, które mogły sugerować zarzut bezczynności wojska.

„1 wypadek: 29 maja robotnicy fabryki Scheiblera wynieśli poza bramę majstrów i dyrektora, zamknęli wszystkie wejścia i pilnowali dostępu do nich. Dwie roty nie mogły przedostać się do fabryki przez całą dobę obawiając się dużych ofiar w razie użycia broni i dopiero 31 maja zajęły fabrykę (...)

2 wypadek: 30 maja o godz. 11 wieczorem wezwano do fabryki Winklera i Garfnera rotę 38 Tobolskiego Pułku, ale robotnicy jej tam nie wpuścili i rota musiała wrócić do koszar. Wypadek ten zaszedł nie w wymienionej fabryce, lecz w fabryce Heinzla, znajdującej się w pobliżu pierwszej..."

Zdaniem generała-majora W. Orłowa w pierwszym przypadku policja nie sformowała zbyt wyraźnych żądań wobec wojska i stąd jego bierność, gdyż wojsko nie chciało spowodować zbyt wielkiego rozlewu krwi. W drugim przypadku natomiast zadanie interwencyjne powierzono chorążemu rezerwy, który przez 15 lat był cywilem i nie umiał poradzić sobie w nieznanej mu sytuacji. Zresztą i w tym przypadku policja niezbyt dokładnie określiła rolę wojska.

Trudno mówić o bierności wojska, które strzela przecież do demonstrantów. A i oni nie pozostają dłużni. „Rozwój" — dziennik polityczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny i literacki, ilustrowany — donosi 2 czerwca 1905 roku, że poprzedniego dnia około godziny 17 nieznany sprawca pchnął sztyletem rewirowego I cyrkułu — Aleksandra Polkowskiego. Rana okazała się jednak niegroźna i rewirowego Polkowskiego po udzieleniu pierwszej pomocy zawieziono do domu na dalszą kurację. 6 czerwca 1905 roku „Rozwój" donosi, że stójkowego Karola Wudela, stojącego przed oddziałem Banku Państwa nieznany sprawca oblał kwasem solnym. 15 czerwca gazeta donosi o zajściu w Łagiewnikach. Na odpust św. Antoniego przybyło do klasztoru 12 tysięcy pątników.

„Przed nabożeństwem porannym — donosił w raporcie do Warszawy gubernator piotrkowski M. Arcimowicz — **50 ludzi odłączyło się od tłumu wzniosło czerwony sztandar mając zamiar urządzić demonstrację, ale strażnicy ziemscy zjawiwszy się w porę nie dopuścili do tego... Po zakończeniu nabożeństwa porannego wychodzący z kościoła zaczęli śpiewać pieśni rewolucyjne, ale z chwilą zbliżenia się funkcjonariuszy policji powiatowej zaprzestali śpiewu. To samo zaszło również po zakończeniu w tym kościele nabożeństwa wieczornego".**

Tu gwoli wyjaśnienia, co wówczas uważano za pieśń rewolucyjną, cytat z raportu zastępcy generał-gubernatora W. Czerkasowa do generał-gubernatora warszawskiego K. Maksymowicza:

Namawianie do donosicielstwa. Polski rysunek satyryczny

„W m. Łodzi modlący się w kościołach prawie codziennie śpiewają hymn rewolucyjny „Boże coś Polskę".

W tym czasie, kiedy policja powiatowa miała kłopoty z ludźmi przybyłymi na odpust do Łagiewnik, od strony wsi Modrzejowice ruszył pochód z czerwonym sztandarem. Żandarm Jan Primoczenko najpierw usiłował wezwać policję do akcji, ale usłyszawszy, że ta ma wiele roboty ze zgromadzonymi 12 tysiącami ludzi, sam ruszył przeciw demonstracji. Zażądał, aby demonstranci rozeszli się, a oni, aby on zdjął czapkę przed czerwonym sztandarem. Obie strony odmówiły spełnienia żądań. Rzucono kamieniami w żandarma. Kiedy upadł, wyjęto mu szablę i rozpruto brzuch. Jan Primaczenko zmarł, a ciało jego złożono w kostnicy cmentarnej w Zgierzu. Pod cmentarzem zgromadził się spory tłum ludzi, żądając wyrzucenia ciała żandarma z kostnicy. Taka była nienawiść ludu do carskich żandarmów.

Do walki z caratem i burżuazją wykorzystywano każdą okazję. Nawet pogrzeby ofiar starć z policją taką okazję dawały. 26 maja 1905 roku u zbiegu ulic Emilii (8 Marca) i Widzewskiej (Jana Kilińskiego) kozacy zabili Jerzego Grabczyńskiego i ranili Franciszka Siutę oraz Adama Szymańskiego. Zwłok zabitego nie wydano policji. Łódzki Komitet SDKPiL wezwał wtedy robotników Łodzi do tłumnego udziału w pogrzebie kolejnej ofiary carskiej przemocy.

„Do walki, towarzysze! Niech pogrzeb ten będzie jeszcze jednym dowodem dla rządu, że ma w nas wrogów nieprzejednanych i niezwyciężonych. Precz z rządem morderców!"

Na pogrzeb stawiło się 40 tysięcy ludzi. A w miarę posuwania się konduktu pogrzebowego ulicami Łodzi tłum stale rósł.

„Ruszyliśmy ulicą Fabryczną do Pustej (ul. St. Wigury — przyp. L. B.) relacjonował łódzki korespondent „Z pola walki". — **Wszyscy trzymają się pod ręce. Rozwijają sztandary. (...). Wieniec niesiono, trzymając go do góry tak, aby tłumowi był widoczny. (...). Tuż przed karawanem szła orkiestra... Nastrój podniosły i uroczysty. Pochód bez końca ze sztandarami i z tą olbrzymią masą kroczącą powoli, w skupieniu, robił ogromne wrażenie. Wszystkie okna i balkony zapełnione publicznością, (...) Trotuary pełne publiczności. (...) Porządek wzorowy. Idziemy dalej Pustą do Piotrkowskiej, Piotrkowską do Czerwonej, Czerwoną, Wólczańską. Kątną** (Walerego Wróblewskiego przyp. L. B.) **i na koniec wychodzimy w pole. I tu nigdzie nie widać policji ani wojska, (...)**

Wchodzimy na cmentarz, nie wszyscy mogą jednak się pomieścić, połowa zostaje poza parkanem. Tu już zastajemy tłum, ogółem ilość obecnych dochodzi do 50 — 60 tysięcy. ... wezwanie naszej odezwy: „Cała Łódź robotnicza powinna tam być!" obleklo się w rzeczywistość. Po odprawieniu zwykłych ceremonii religijnych, zarządzonych przez rodzinę zmarłego, po mowie pastora, znów nad trumną zabitego rozlegają się mowy rewolucyjne. (Poprzednie wygłoszono w jadalni fabryki Grohmana, skąd ruszył kondukt pogrzebowy — przyp. L. B.). **(...) Znów zabierają głos mówcy, przemawiają po polsku, niemiecku i w żargonie. Wszyscy stoją z obnażonymi głowami — zapał niebywały. Potężne tony pieśni robotniczej rozbrzmiewają daleko. Część rozchodzi się do domu pojedyńczo. Pozostali, zwartym szeregiem, z rozwiniętymi sztandarami wchodzą do miasta, gdzie dopiero rozchodzą się. Tak robotnicza Łódź oddała ostatnią posługę nowej ofierze zbrodniczego caratu".**

W czerwcu inny pogrzeb ofiar caratu stał się bezpośrednią przyczyną wybuchu powstania w Łodzi.

Walka toczy się na wszystkich frontach, przybiera różne formy. Toczy się ona nie tylko w Łodzi. W całej Polsce znajdującej się pod zaborem rosyjskim. Jest to walka nie tylko ekonomiczna, nie tylko polityczna, ale jest to obrona trwałych wartości moralnych narodu przed tym wszystkim, co tym wartościom zagraża. Jest to walka o szacunek człowieka dla człowieka, a szacunek dla kobiety, dla rodziny, walk o uchronienie polskości. Wyraża się ona różnorodnością form i treści. Na przykład robotnicy zrezygnowali z palenia papierosów, kobiety z wielu ozdób, aby żyć skromniej, a zaoszczędzone pieniądze przeznaczyć na finansowanie organizacji, które tą walką kierowały. W czasie różnych zgromadzeń zbierano pieniądze na rewolucyjne cele. Tak było w czasie wspomnianego odpustu w klasztorze w Łagiewnikach, **„podobno na zakup broni w celach rewolucyjnych"**, jak to ujął relacjonujący o tym policjant.

Jest to też czas strajków, szkolnych, czas walki o polską szkołę, o wolność prasy, czas odżywania rewolucyjnej tradycji narodu. W Łomży 3 maja 1905 roku w miejscu, gdzie rozstrzelano powstańców z 1864 roku wystawiono krzyż z napisem: **„Poległym za ojczyznę"**. Takich wypadków i podobnych było więcej.

Robotniczy gniew zwraca się nie tylko przeciw carskim siepaczom, burżujom, ale i wszelkim mętom społecznym. 25 maja 1905 roku „Rozwój" donosi z Warszawy o powstałych tam zaburzeniach. Grupy Żydów, robotników i rzemieślników, zaatakowały żydowskich sutenerów, opryszków i inne męty społeczne. Zaatakowano ich w knajpach, melinach, na ulicach, w domach rozpusty. Następnego dnia, 26 maja 1905 roku, gazeta obszerniej relacjonuje zajścia warszawskie, tytułując wymownie korespondencję z Warszawy: **„Krwawy sąd doraźny".**

„Zajścia te — pisze „Rozwój" — **nie powodują popłochu w mieście. Większość mieszkańców zaznacza, że prostytucja tak dalece rozpanoszyła się w Warszawie, a sutenerzy tak się rozzuchwalili, iż zemsta, czy też sąd doraźny, chociaż tłum ucieka się do mordów, nie dziwią nikogo".**

Wkrótce i w Łodzi doszło do podobnych zajść. 19 czerwca 1905 roku tłum próbował zdemolować sklep monopolowy na ul. Zawadzkiej (ul. Zawiszy). A jeszcze wcześniej, bo 2 czerwca 1905 roku grupa ludzi pod przywództwem Piotra Cybuchowskiego napadła na dom rozpusty mieszczący się przy ulicy Długiej (ul. Gdańska) nr 61. Właściciel domu publicznego Piotr Hartz w obronie swego dochodowego interesu wystąpił dobrze uzbrojony w kij, którym srodze poturbował napastników. Przed napadem innej grupy nie obroniły się pesjonariuszki domu rozpusty, który się mieścił przy ul. Konstantynowskiej (ul. Obrońców Stalingradu) nr 7.

Zarówno w Warszawie, jak i w Łodzi — na co szczególnie zwracają uwagę obserwatorzy — w czasie napadów na domy publiczne, rozpędzano personel, wyrzucano na bruk meble i pościel, niszczono wszystko z dużą zajadłością, ale baczono pilnie, aby nikt sobie niczego nie przywłaszczył. Nie były to bowiem napady rabunkowe, a jedynie „rozrachunki ze społecznym złem". Również już w czasie powstania czerwcowego demolowano sklepy monopolowe i domy rozpusty.

Nadal trwają strajki. 3 czerwca 1905 roku „Rozwój" donosi, że w mieście strajkuje 26 000 robotników w 54 fabrykach. W Łodzi w tym czasie było około 500 różnych, dużych i małych fabryk, a pracowało w nich około 74 000 ludzi. Na przełomie maja i czerwca 1905 roku robotnicy wprowadzają w Łodzi strajki okupacyjne. Przez 3 dni na przykład okupowali fabryki Tow. Akc. K. Scheiblera. Strajki okupacyjne odbyły się też w fabrykach tow. akcyjnych: L. Geyera, J. Heinzla, F. Geldnera, M. Sibelsteina i innych.

Strajkowali nie tylko robotnicy. Strajkowali również rzemieślnicy. 14 czerwca 1905 roku „Rozwój" doniósł, że zakończył się strajk kelnerów w Grand Hotelu i Grand Cafe. Ale 19 czerwca gazeta napisała nie bez pewnego oburzenia, że **„przybyli do ogrodu gościa na kolację znaleźli się nagle bez obsługi"**, zastrajkowali bowiem kelnerzy hotelu Manteufla.

17 czerwca 1905 roku „Rozwój" nie bez satysfakcji doniósł o strajku, jaki wybuchł w... szpitalu im. małżonków Poznańskich. Zastrajkowała obsługa tego szpitala, domagając się przyzwoitego traktowania, pieniędzy zamiast lichego wyżywienia oraz czasu wolnego w niedzielę i święta od godziny 14. Chorzy pozbawieni obsługi podnieśli alarm. Wezwano naczelnego lekarza, dr M. Kohna, który obiecał wstawić się w imieniu personelu szpitala u prezesa Zarządu Szpitala im. małżonków Poznańskich — I. Poznańskiego.

„Ciekawa rzecz — ironizuje „Rozwój" — **czy zapewnienia naczelnego lekarza zaważą na szali przekonania prezesa i czy istotnie słusznym żądaniom służby stanie się zadość?"**

Strajkowano również w Pabianicach, Zgierzu, Ozorkowie i innych miastach w pobliżu Łodzi.

„15 VI wieczorem w Ozorkowie — donosił w ściśle tajnej depeszy generał-major W. Czerkasow swojemu zwierzchnikowi generał-gubernatorowi K. Maksymowiczowi — **w fabryce Schlössera wybuchły zaburzenia. Robotnicy rzucali kamieniami i strzelali z rewolwerów do kozaków, raniono setnika i siedmiu kozaków, kozacy ranili czterech robotników".**

8 czerwca 1905 roku „Rozwój" donosi z Pabianic, że zarządy fabryk towarzystw akcyjnych Krusche i Endera oraz Fausta doszły do porozumienia ze strajkującymi robotnikami i ci przystąpili do pracy. Strajkowano natomiast w innych fabrykach.

Naczelnik powiatu łaskiego, W. Iwanow donosił gubernatorowi piotrkowskiemu M. Arcimowiczowi, że 16 czerwca **„... w mieście Pabianicach zastrajkowali robotnicy fabryk tkackich Preisa i B-ci Baruch, razem 532 ludzi, żądając podwyższenia płacy zarobkowej. Robotnicy zachowują się spokojnie".**

Strajkowano w Zelowie, Zduńskiej Woli, Tomaszowie Mazowieckim. 21 czerwca 1905 roku własny korespondent „Rozwoju" w Zgierzu donosił. **„Nasze spokojne miasto nawiedziła epidemia strajków".** Pisał też o tym, że **„dopuszczono się gwałtów na majstrach".** Wiadomość ta pochodząca ze spokojnego miasta Zgierza, opublikowana właśnie 21 czerwca 1905 roku w łódzkiej gazecie ma swoisty smaczek. W Łodzi zaczynało bowiem już być bardzo niespokojnie.

Strajkowano w Łodzi. Ludzie byli już wprawdzie zmęczeni strajkami, ale nie ustawali w walce. Brak pracy równał się brakowi chleba, a rodziny trzeba było karmić. Pomagano sobie wzajemnie, dzielono się solidarnie, tym, co kto miał. Wiedzieli o tym fabrykanci. Nie ustępowali łatwo. Stawiali swoje warunki. W fabrykach Karola Scheiblera rozplakatowano ogłoszenie, że fabryka ruszy, jeśli robotnicy:

— zaprzestaną żądać podniesienia płacy,

— przeproszą majstrów i dyrektorów, których uprzednio wyrzucili za bramę,

— wszyscy jednocześnie przystąpią do pracy, a o przyjęciu warunków zarządu powiadomią administrację fabryki przez trójki delegatów wybranych w poszczególnych oddziałach.

„Straszny wyzysk, jaki odczuwamy ze strony fabrykantów — pisał w oświadczeniu Socjaldemokratyczny Związek Robotniczy Fabryk Scheiblera i Grohmana 3 czerwca 1905 roku — **zmusił nas do strajkowania. Dzisiaj, wyczerpani głodem, wracamy do pracy, uprzedzamy jednak, że nie przestaniemy walczyć, dopóki nie zostaną zaspokojone nasze żądania, które pozwolą nam później walczyć o dalsze nasze cele".**

SZR domagał się wówczas:

— usunięcia wojska z fabryki i zobowiązania do nie wyzywania więcej wojska na pomoc,

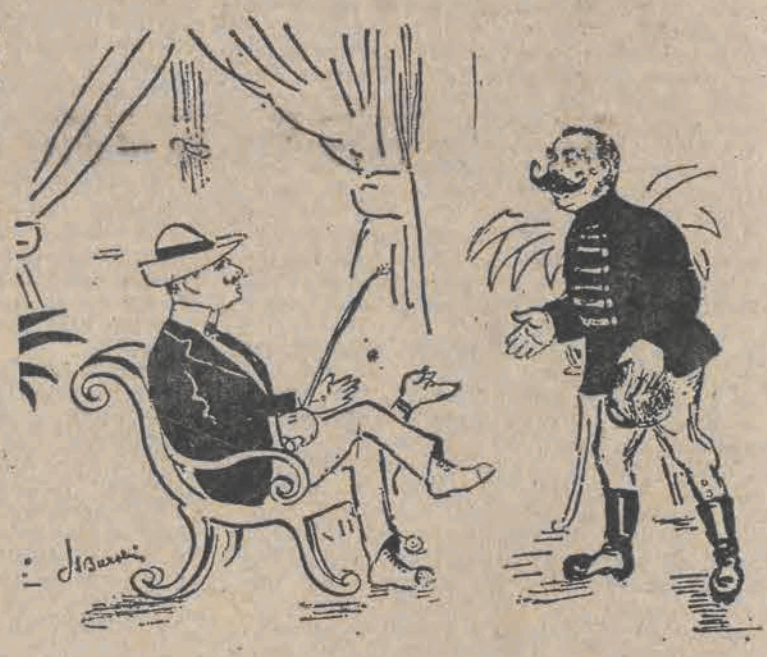

— Jaśnie panie! Strajk! Chcą podwyżki. Mówią, że pan hrabia na karty ma, a o nich nie pamięta.
— Powiedz im, niech nawet nie marzą o podwyżce! Od kilku tygodni karta mi zupełnie nie idzie.
Rys. St. Burski

— dziesięciogodzinnego dnia pracy,

— powołania kasy chorych, która płaciłaby chorym połowę ich zarobku,

— płacenia robotnikom, kiedy **„warsztat stoi nie z winy robotnika",**

— **„założenia szkół z prawem bezpłatnego kształcenia dzieci robotników".**

Jednocześnie Socjaldemokratyczny ZR groził:

„Gdy delegaci będą oddani policji lub wydaleni z fabryki, my solidarnie wstrzymujemy się od pracy".

Jak z tego widać były to żądania nie tylko ekonomiczne, nie tylko bezpośrednio dotyczące robotników fabryk K. Scheiblera, ale mające również szersze znaczenie polityczne, będące jednocześnie obroną praw robotników i walką o te prawa.

„Panom fabrykantom — pisał o walce robotników Scheiblera łódzki korespondent „Z pola walki" — **zachciewa się złamać robotników jako klasę, chciałoby się im poniżyć robotników, zdeptać ich godność osobistą. Więc potentat, łódzki Scheibler w swoim mniemaniu pan wszechwładny pięciu tysięcy robotników u niego pracujących, żąda, by robotnicy przeprosili majstrów i dyrektorów, których wrzucili z fabryk — w przeciwnym razie grozi zamknięciem fabryki. Robotnicy na poniżenie się nie zgodzili i Scheibler — pan „swojej" własności, „swoich" maszyn, warsztatów itd. — fabrykę zamknął. Niech z głodu wzdycha wolny najmita, gdy „pana" swego i „pracodawcę" po rękach uniżenie lizać nie chce".**

W Łodzi robi się coraz niespokojniej. 19 czerwca 1905 roku nieznany sprawca strzelił do żołnierza 38 Tobolskiego Pułku Piechoty, Tymoteusza Korniłowa, raniąc go ciężko. Kula dużego kalibru przebiła klatkę piersiową. Pierwszej pomocy udzielił lekarz Pogotowia. Ciężko rannego, w stanie beznadziejnym, przewieziono do wojskowego lazaretu. A nie był to jedyny wypadek.

Kiedy w połowie czerwca trzy szwadrony 46 Perejasławskiego Pułku Dragonów odkomenderowano do ochrony lasów spalskich, gubernator piotrkowski nie omieszkał zawiadomić generał-gubernatora K. Maksymowicza, że **„w razie powtórzenia się (...) niepożądanych powikłań"** będzie zmuszony **„prosić Waszą Ekscelencję o zezwolenie na wzmocnienie garnizonu łódzkiego".** A na jego piśmie K. Maksymowicz dopisał:

„W m. Łodzi są trzy pułki piechoty, poza tym znajdują się 3 sotnie kozaków i 3 szwadrony kawalerii; jeśli będzie potrzeba jeszcze więcej wojska, niezwłocznie zostaną odkomenderowane dodatkowe siły zbrojne".

I data: 18 czerwiec 1905 roku.

Jakoś istotnie już za kilka dni trzeba było gwałtownie wzmacniać łódzki garnizon.

Bo działo się to wszystko w Łodzi nim nastał taki dzień, kiedy:

„Za barykadą — tłum stłoczony,
A nad nią, w górę podniesiony,
Sztandar — wyzwanie, sztandar — gniew:
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew".

— jak to pięknie napisał w „Kwiatach polskich" Julian Tuwim.

LUCJAN BOGUSZ

Andrzej Wiktor Mikołajewski

KRYSZTAŁOWY WAZON

— *Co ci jest?* — zapytał Iwonę, zerkając na nią znad gazety, którą czytał już chyba godzinę. Iwona siedziała bez ruchu na tapczanie, śledząc go chłodnym, niemal że nienawistnym spojrzeniem. Teraz gwałtownym ruchem cofnęła głowę. Jej długie, ostatnio rude włosy, opadły do tyłu, układając się wzdłuż wyprostowanych, jak struna pleców. Pomyślał, że znowu jest czymś zniecierpliwiona, zresztą jak zwykle, bo nie pamięta już dnia, w którym byłaby inna, zadowolona choćby z tego tylko powodu, że żyje. Nie czuł się winny temu, że tak z nią jest. Czuł natomiast, że powinien z nią porozmawiać. Bał się jednak, że ta rozmowa może okazać się trudna, że pojawi się problem, na który on nie jest przygotowany. Dosyć ma już problemów. Całe to życie jest jednym wielkim problemem, bo toczy się jakby bez sensu, dosłownie z dnia na dzień i człowiek nie chce już o niczym wiedzieć, nic go nie interesuje, gdyby ujrzał własny nekrolog w gazecie też by w żaden sposób nie zareagował — ech, o czym on znowu myśli! Ratuje go tylko świadomość, że do wszystkiego można się przyzwyczaić. Od dawna na przykład jest pewien, że Iwona go zdradza, ale on udaje, że nic o tym nie wie. Sam przecież chciał, aby tak było, bo i on nie był wobec niej w porządku. Miał Marię, o której Iwona też chyba coś nie coś wiedziała, ale nie robiła mu żadnych awantur, znosiła to wszystko w milczeniu, bo ona już taka jest. Nie umie się żalić, tym bardziej przed tymi, którzy wyrządzają jej krzywdę.

Wstał od stołu odkładając za siebie gazetę — na regał, który sam zrobił, nie zapominając o barku. Miał ochotę się napić, jest jeszcze trochę wódki na spirytusie, jest koniak, czerwone wino... Koniak byłby najlepszy. Ale zrezygnował. Iwona też by się chyba napiła, no i zaczęłaby się rozmowa. Fakt, że nie odpowiedziała dotąd na jego pytanie, wcale nie znaczy, że nie chce z nim wcale rozmawiać. Ma mu zapewne wiele do powiedzenia, ale coś tak ważnego, że nie wie, jak zacząć. To dobrze. On nie chce o niczym słyszeć. Najlepiej zrobi, gdy wyjdzie z domu, albo weźmie się za jakąś większą robotę. Kiedy coś robi, Iwona nigdy mu nie przeszkadza, zawsze daje mu spokój.

Przeciągnął się. Przez chwilę stał w oknie. Patrzył na rozległą panoramę miasta, którego światła przebijały się przez mgłę. Szary, mdły zmierzch. Samochody jadące widoczną stąd autostradą płyną sennie, a przecież bywają dni, kiedy mkną jak szalone, a ruch, który czynią swym pędem, budzi radość w człowieku, chce się żyć, ma się pewność, że jeszcze wiele można otrzymać od życia. Ale teraz... Nie chce żadnej rozmowy, nic też nie będzie robił.

Wracając do stołu potrącił ręką kryształowy wazon, ale zdążył go chwycić.

— *Jaki ty jesteś nieuważny* — powiedziała Iwona. — *Wiesz, jakie to kruche.*

Iwona nie wie, że ten wazon to prezent od Marii. Wręczając mu go, Maria powiedziała, że kupiła to dla jego żony. — *Postaraj się, żeby nigdy nie brakowało w nim kwiatów* — dodała. Myślał wtedy, że przemówiła przez nią zazdrość, ale okazało się potem, jak bardzo się mylił...

Z Marią spotykał się niemal codziennie. Ich znajomość trwała ponad rok, wierzył, że to, co ich łączy, jest wyjątkowe, że tylko nieliczni doświadczają tego, więc nie bez dumy zaliczał się do grona wybrańców. Tłumaczył sobie, że Marię kocha w sposób naprawdę dojrzały, bo uczucie do Iwony, to była młodość, a siłą takiego młodzieńczego uczucia bywa sama namiętność. Tak, to, co łączyło go z Marią, było... Machnął ręką. Cokolwiek to było, lepiej o tym zapomnieć. Było, ale już nie ma. Maria odeszła. Bardzo chciała wyjść za mąż, więc to szybko zrobiła. Znalazła sobie jakiegoś bogatego architekta, a jemu powiedziała, że to nic, że ona tamtego nie kocha, bo wyjść za mąż można dziś tylko z rozsądku, żeby potem nie było czego żałować. Nigdy jej nie rozumiał, mimo że starał się, bo tak wspaniali kochankowie powinni się przecież rozumieć. — *Ach ta Maria...*, westchnął. Tak naprawdę to bała się, że jeśli się w nim zakocha, nie będzie mogła o nim zapomnieć. Miała jednoizbowe mieszkanko na Piotrkowskiej, w jednej z tych starych, już historycznych kamienic, ale wyremontowanych w środku i przystosowanych do warunków, w jakich ludzie chcą dzisiaj żyć. U Marii czas zawsze się zatrzymywał. Dopóki ona nie przypomniała mu, że powinien wracać do domu, nie słyszał tykania starego zegara i wybijanych przez niego kwadransów. Ten zegar Maria kupiła w „Dessie". Wydała na niego wszystkie swoje oszczędności, ale kochała rozrzutność. Potem pożyczyła od niego pięć tysięcy na życie i oczywiście nigdy mu ich nie oddała.

Po ostatniej wizycie u Marii, do dzisiaj nie może sobie wybaczyć, że tak bardzo się przed nią upokorzył. Nic jeszcze nie wiedział o jej małżeńskich planach. Przybiegł do niej jak zwykle z kwiatami. — *Biedna Iwona* — pomyślał nagle o żonie. — *Jesteśmy razem od ośmiu lat, ale nie dostała ode mnie nawet połowy z tej ilości kwiatów, które w ciągu roku zdążyłem zanieść Marii. Jestem pożałowania godnym idiotą. Tak się upokorzyć!...* — wrócił myślami do ostatniej wizyty u Marii. Przykre wspomnienie odzwierciedliło się na jego twarzy, bo zasmucił się nagle.

Zapukał. Maria długo nie otwierała. Dopiero po dłuższej chwili podeszła do drzwi i powiedziała, że musi chwilę poczekać. Czekał, a kiedy wreszcie otworzyła drzwi, zaczęła go od razu przepraszać, że nie będzie mógł dzisiaj u niej posiedzieć, bo ona musi wyjść. Zapytał, dokąd się śpieszy i czy nie może jej towarzyszyć. — *Nie* — odparła. Był zdumiony. Także tym, że Maria nie zwróciła dotąd uwagi na kwiaty, i w ogóle zachowuje się tak, jakby jego tu wcale nie było. Wraca w głąb pokoju, zdejmuje obrus ze stołu, strzepuje z niego okruchy nad koszem na śmieci, obrus wraca na stół, po czym Maria siada przed lustrem i poprawia sobie makijaż. On zbliża się do niej, obejmuje dłońmi jej krągłe piersi, *kocham cię*, mówi. Maria i na to nie zwraca uwagi. Malując oczy oznajmia: *Wychodzę za mąż.* — *Coś ty powiedziała?* — *Powiedziałam, że wychodzę za mąż. Dokładnie za miesiąc będę mężatką.* Wyprostowuje się nad nią. Kwiaty, które wciąż trzymał w dłoni, rzuca na stół. — *A ja przyszedłem ci właśnie powiedzieć, że postanowiłem wziąć rozwód, bo stwierdziłem, że nie mogę bez ciebie żyć.* —*Rozmawiałeś już o tym z żoną?* — *Nie, ale...* — *Więc nie ma problemu.* — *Mario, ja nie chcę cię stracić. Nie było mnie tu tylko dwa dni, więc jak to możliwe, żeby nagle wszystko się miało zmienić?!... Wiesz, że byłem w podróży, możesz sobie wyobrazić, jak wiele o nas dwojgu myślałem, jak tęskniłem...*".

— *Czy ja obiecywałam ci kiedy cokolwiek?* — *Nie, ale ja...*

Maria zniecierpliwiła się. — *Bardzo cię proszę* — rzekła — *nie zachowuj się teraz jak dziecko. Mówiłam ci od samego początku, od dnia, w którym się poznaliśmy, że mogę być twoją kochanką, ale nie chcę być nigdy twoją żoną i nie musisz się dla mnie rozwodzić.* — *Ale ja ciebie kocham.* — *Nie krzycz. Ja ciebie też, trochę, bardzo cię lubię, no, sam wiesz, jak to jest między nami, ale to nie znaczy, że musimy być małżeństwem* — *Właśnie* — uprzytomnił sobie — *nie było cię stać nigdy na jakiekolwiek wyznania. Może rzeczywiście trochę mnie lubisz, ale to wszystko, to sprawa przyzwyczajenia. Ponieważ nie miałaś nikogo, żyłaś ze mną, więc byłaś po prostu wygodna Nie wiedziałem, że mam do czynienia ze zwykłą dziwką!* Maria jeszcze bardziej się zniecierpliwiła. — *Za co mi teraz ubliżasz?!... Za to, że nie chciałam komplikować ci życia, i nawet w chwilach, kiedy najbardziej chciałam, żebyś był tylko mój, nie powiedziałam ci nigdy o tym jednego słowa, nie narzekałam, nie nagliłam, do niczego nie chciałam cię zmuszać, w obawie, że przerazisz się mnie i odejdziesz?...* — *Ależ ja czekałem tylko, że coś takiego nareszcie mi powiesz* — powiedział. — *Teraz tak mówisz.* Umalowała już oczy, przypudrowała policzki, mogła odejść od lustra. Stał w dalszym ciągu nad nią. Zawahała się. —*Nie rób mi scen* — poprosiła. Odsunął się. Zajęła się kwiatami. Po chwili chciała już wyjść. Poprosiła, by podał jej palto. Zbliżył się do niej, chwycił mocnym uściskiem w pół i uniesioną do góry przeniósł na tapczan. Nie mógł się już opanować. Maria próbowała się bronić. Zdarł z niej sukienkę i z siłą, o jaką nigdy siebie nie podejrzewał, rozchylił jej nogi. Wdarł się w nią, tak, wdarł, trudno to inaczej nazwać. Maria wciąż się broniła, zaciskała zęby, żeby nie krzyczeć, w końcu uległa mu jednak. Nie, wcale mu nie uległa. Leżała pod nim drętwa, milcząca, zła. W pewnej chwili zrozumiał, jak bardzo się upokorzył. Zsunął się z drętwego ciała Marii, zatopił twarz w poduszce i leżał przez jakiś czas bez ruchu. Maria wstała, poszła do łazienki, potem usiadła przy stole, i jakby nic się nie stało, w spokoju przeglądała jakiś magazyn i gryzła jabłko. Bał się na nią spojrzeć. — *Przepraszam cię* — zdołał z siebie wydusić. Milczała. — *Co robisz?* — zapytał, żeby cokolwiek powiedzieć. — *Czekam, aż wyjdziesz* — powiedziała chłodno. Wtedy już bez słowa podniósł się, doprowadził do porządku swoje ubranie i wyszedł. Bał się ulicy. Albo raczej wstydził. Przez co najmniej kwadrans stał na półpiętrze mrocznej klatki schodowej i płakał, z trudem tłumiąc nagły atak histerii. Był wściekły na siebie, że tak się zachował, że teraz także nie może się opanować i płacze, jak dziecko.

Przyjrzał się teraz Iwonie. Czyżby i ona miała mu ochotę powiedzieć, że chce się z nim rozejść, by potem wyjść za innego? Jak to by z kolei przeżył? Jak by się znowu zachował? Odkąd rozstał się z Marią, z Iwoną postępował bardzo ostrożnie. We wszystkim jej ustępował, starał się być dobrym mężem, nauczył się wyręczać Iwonę w wielu domowych czynnościach, uzupełnił kuchenne umeblowanie, na ścianach położył tapety, zmajstrował ten regał z barkiem, no i ta boazeria w przedpokoju, nad którą ostatnio solidnie się napracował. Uparł się, że sam wszystko zrobi, stale coś było nie tak, ale rezultat jest całkiem niezły.

— *Zastanawiam się, czy powinniśmy mieć dziecko* — powiedziała Iwona.

— *Dziecko?...* — zdziwił się. Przede wszystkim dlatego, że to o to jej chodzi.

Nie patrzył na Iwonę, bo ona patrzyła na niego. Tym swoim chłodnym, niemal że nienawistnym spojrzeniem.

— *A ty chcesz mieć dziecko?* — zapytał.

— *Nic już nie chcę* — odparła, i jeszcze chłodniej spojrzała.

— *Ależ ja...* — zaczął, lecz zamilkł natychmiast. Sięgnął po paierosa. Zrobił to nazbyt nerwowo i paczka z papierosami upadła pod regał. Niechętnie się po nią schylił. Wydawało mu się, że w spojrzeniu Iwony nie brakuje także ironii. Po chwili już palił.

— *Jesteś w ciąży?* — zapytał.

— *Nie.*

— *Na pewno nie?*

Teraz ona sięgnęła po papierosa. Mocno, z zadziwiającą zaciekłością, wypuszczała przed siebie dym.

— *Oto i problem* — myślał. — *Nie ten, którego tak się bałem, ale wcale nie mniejszy. Jestem pewien, że ona jest w ciąży. Ale czy ze mną? Bo może z tym swoim kochasiem od siedmiu boleści? Wie, że byłoby to trudno przede mną ukryć, więc postanowiła mi o tym powiedzieć, pewna, że nie zechcę mieć dziecka. Co mam jej teraz powiedzieć?...*

Nie musiał nic mówić. Iwona zdążyła wstać z tapczanu, wyjść do przedpokoju i przygotować się do wyjścia. Właśnie zamknęła za sobą drzwi. Zdążył się przyzwyczaić do tych jej dziwnych reakcji, gestów, przestały go irytować, ale pomyślał, że mimo wszystko za wiele sobie pozwala, bo w ten sposób nigdy nie zdołają się porozumieć. Dokąd teraz poszła? — *I po co to wszystko robiłem?* — pomyślał o tapetach, o regale, o uzupełnionym kuchennym umeblowaniu, o boazerii w przedpokoju. — *To było dla niej, dla nas dwojga, bo przecież razem tutaj mieszkamy, dni zaczynamy od wspólnego zasiadania przy stole, wspólnie spędzamy długie wieczory, są dni, kiedy mocno siebie pragniemy i wtedy jesteśmy ze sobą tak naprawdę razem i zawsze jest nam ze sobą dobrze. Były chwile, kiedy to dzięki niej, Iwonie, nie musiałem żałować, że nie mam już Marii, bo dopiero teraz jestem naprawdę szczęśliwy. Modliłem się w duchu, że przyjdzie dzień, kiedy Iwona pomyśli podobnie i powie temu swojemu kochasiowi, że woli być ze mną. Ale czy on naprawdę istnieje? Bo może wcale go nie ma? Może ja sobie wymyśliłem go tylko, sądząc, że Iwona nie chce być gorsza ode mnie i dlatego zadała się z kimś tam... Ale czy rzeczywiście wiedziała, że ja... Nie będę o nic prosił, niech sobie ma, kogo chce, niech się rozwodzi ze mną. To mnie już nic nie obchodzi, mam już po dziurki w nosie takiego życia, chcę się napić!...*

Otworzył barek. Koniak to najwspanialsze lekarstwo na nerwy. Przechylił więcej, niż pięćdziesiątkę. Alkohol rozgrzał mu piersi, a następnie żołądek. Przekonany, że od razu ma lepszy nastrój, podszedł do okna. Zamglony zmierzch przemienił się w zamgloną noc. Coraz mniej samochodów wolno przepływających przez autostradę, ale za to więcej świateł w mieście, które jednak wydawało mu się nazbyt martwe. Czy można jeszcze czegoś chcieć od życia? Dobry nastrój, to tylko chwilowe złudzenie. Ale nie można powiedzieć, że jego nastrój jest zły. Jedyne, czego się zdołał nauczyć, to nie popadanie w żadne złe nastroje, w żadne chandry. Po prostu żyje, pracuje, odpoczywa, majstruje, kopuluje, śpi, jest na tym świecie. I tak z dnia na dzień. Mimo wszystko, jest to o wiele lepsze od niepokojów, których doświadczył dzięki Marii. Był wtedy inny, żył prędzej, więcej czuł, świat był barwniejszy, ale jednocześnie był to chaos, którego nie potrafił opanować, był to rodzaj przepaści, w którą wpada się przez przypadek, a nie z wyboru. Teraz jest spokojniejszy. Trzeba jednak przyznać, że za bardzo się zmienił. Chciał być przecież inny, bardziej ludzki, otwarty na los innych. Co to za świat, jeżeli trzydziestopięcioletni mężczyzna jest po prostu obojętny, skostniały, pusty w środku. Żyje tak, jakby nie było przed nim żadnej przyszłości.

Przeraził się nagle, że jest już bardzo późno, że Iwona nie wróci. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dopiero ósma, więc się uśmiechnął, nie minął nawet kwadrans od momentu, w którym Iwona wyszła z domu. Poszukam jej — postanowił. Przechodząc obok stołu uderzył palcami w wazon, który pięknie zadzwonił.

Założył buty i palto. Wyszedł. Na półpiętrze stała Iwona. Zawstydzona, próbowała zetrzeć płynące po jej policzkach łzy. Jakże jej współczuł. Wiedział, co to znaczy stać na mrocznej klatce schodowej i płakać. Objął ją i mocno do siebie przytulił. Rozpłakała się na dobre, ale pomyślał, że to dlatego, że poczuła się nareszcie bezpieczna i sam tak się poczuł.

— *Jesteś w ciąży?* — zapytał.

— *Tak* — powiedziała. — *Ale ty chyba myślisz, że ja...*

— *Nic nie myślę. Wiem tylko, że bardzo cię kocham. Wracajmy do domu. Tam się swobodnie wypłaczesz, ale byłoby lepiej, gdybyś się śmiała.*

— *Tak...* — Już teraz zaczęła się śmiać.

Wprowadził ją do mieszkania.

— *Poczekaj na mnie chwilę* — powiedział. — *Ja zaraz wracam.*

Kwiaciarnie już były zamknięte, ale przed „Delikatesami" zawsze stoją kwiaciarki. Kupił bukiet wspaniałych czerwonych róż.

Iwona już urzędowała w kuchni. Pachniało jakąś wspaniałą potrawą. Płakała, ale nad krajanym kawałkiem cebuli.

— *Jakie piękne* — powiedziała o kwiatach. Była mocno wzruszona. Poprosiła, by sam wstawił je do wazonu.

Porozcinał końce łodyg. Drżąc z zadowolenia, poszedł po wazon, żeby następnie napełnić go wodą. I może to jego drżenie sprawiło, że wazon wypadł mu z ręki i pękł na podłodze, jak bomba. Stał nad nim zdumiony i przerażony. Do pokoju zajrzała Iwona, zaciekawiona hukiem. Widząc jego minę zaśmiała się.

— *To na szczęście* — powiedziała łagodnie i roześmiana wróciła do kuchni.

Poczuł się tak, jakby wybaczyła mu wszystko, nawet Marię.

TERESA MAGROWICZ-KAPIAS „Ptakom podobna" 1971

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

POWOŁAJCIE SIĘ NA MNIE

Ponieważ Ocena ma władzę i chce z niej korzystać, nie da się na razie w czasie być może przejściowym, zaprzeczyć prawomocności tego prawa.
Prawo bezsilne nie jest prawem, a co innego jest mieć słuszność za sobą, co innego zaś móc z tego korzystać.

Stan ten podobny jest do stanu po szczęśliwej rewolucji.
Według nowego prawa pozostała Wyspa krajem, fragmentem Oceanu, oczywiście z nieznacznym zakresem działania.
Wyspa stanowi ziemię pozostającą w związku wodnym sui generis z Oceanem, lecz określenie to niewiele mówi, a nawet nie jest słuszne. Jeśli pomyślimy o Oceanie w oderwaniu od Wyspy, to Ocean będzie Oceanem nawet bez Wyspy
inaczej rzecz się ma z Wyspą, której brak jest wówczas dla pojęcia Wyspy Neptuna.

WIZYTA U KOPACZA STUDNI

Ustalenie treści moich narodzin jest za pomocą czystej logiki niemożliwe.
Właśnie przyłapałem się na tym, że to zasadnicze pojęcie, na którym wszystkie inne się opierają, drwi z czysto rozumnego traktowania.
Mogę, więc jestem największy z nie istniejących, dokładniejsze określenie formy istniejący i rozwiązanie przy dokładnej ocenie sił tworzących to problem z kamienia i drewna.
Jeżeli ktoś chciałby zwolnić największego z nie istniejących, nie zamianuje nowego na opróżnione miejsce, bo nikt naprawdę nie mógłby przyznać, że istniałem.
Jest to bowiem zakaz większości, mimo praktyki odmiennej nie został zniesiony aż do dnia dzisiejszego w rzeczywistości wywiera jednak pewne skutki podrzędne.
Nieme jak szept pod dnem studni.

NA HORYZONCIE

Osądzałem to co było już bez skazy
Dodałem liczne skargi nieraz już do cna zużyte.
Nie krzyczcie z rozkoszy, jeśli tak wielu domaga się ożywienia i uduchowienia materii martwej, olbrzymiej ilości faktów.
Stańmy i zamknijmy oczy
Dodajmy istnienie w samotności w celu obrony.
Przeciągi goją nasze rozpalone ciała.
Krok następny ożywi jeszcze wodą martwych z dni dawnych.
Mózg już pulsuje za każdym potokiem deszczu.
To białe teraz niebo pochłonęło mękę i pierwsze milczenie,
milczenie drugie nie zostało już przyjęte.

W KOLE NIE MA KĄTÓW

W domu, którego nie masz
Nikt nie przyjdzie z miotłami
Nikt twoich progów nie przejdzie.
I wiedza historyczna ma nam odpowiedzieć
na ową kategorię powinności

i odpowiedź ta powstaje
na gruncie nie tego co jest
lecz tego co być powinno.
Praktycznie, dla tych, którzy nigdy progów nie przeszli.

MACIEJ ŁUKOWSKI

ROZMOWY O KULTURZE

Czy kultura powinna opierać się na snobizmie? W pewnym sensie tak i to tym najbardziej szlachetnym. Nie ma przecież nic niezwykłego, jeżeli do ostatecznego efektu dotrzemy wyzwalając po drodze motywacje nie w pełni świadome tego, ku czemu zostały pobudzone. Mamy w Łodzi klasyczny przykład takiego zjawiska — Teatr Wielki. Gdy się rodził nikt chyba nie przypuszczał, że będzie jedną z najchętniej odwiedzanych „świątyń" kultury. W początkowym okresie „wypadało" być (możliwie najwcześniej) na nowych premierach, dzisiaj dla niektórych także „wypada", ale w większości mamy już autentyczną publiczność potrzebującą tego rodzaju intelektualnej rozrywki.

Ostatnio „wypada" bywać na imprezach w Muzeum Historii Miasta Łodzi. To co działo się na otwarciu sali balowej przerosło najśmielsze oczekiwania organizatorów. Frekwencja uwidaczniała się ściskiem niebywałym, który krzepił serca animatorów kultury. Pomijając wyjątkowy charakter imprezy (i orkiestrę Maksymiuka) jest tu coś z tego, że w obrębie kultury tworzą się swoiste „smaczki" i „atmosfery" bardzo twórcze i inspirujące dla jej rozwoju.

Myślę, że sukces ostatniego XIII Festiwalu Poezji, na którym autentycznie zajęto wszystkie przejścia i drzwi, aby tylko usłyszeć wystąpienie Artura Sandauera i innych. Coś się dzieje. Owo „coś się dzieje" może zdziałać w kulturalnej edukacji więcej niż niejedno doskonałe seminarium dla... 10 osób.

Róbmy więc imprezy, które trafią w autentyczne zapotrzebowanie odbiorców. Lepiej róbmy ich mniej a zastanówmy się nad skutecznością każdej z nich. Mam nadzieję, że minęły czasy kiedy rozliczano kulturę wyłącznie matematycznie (z ilości imprez). Niełatwo jest wytworzyć ową twórczą czy inspirującą atmosferę, nieproste jest także wyzwolenie działań prowadzących do wydarzenia artystycznego. Chociaż umiejętnymi zabiegami organizacyjno-propagandowymi można częściowo tworzeniu się takich zjawisk pomóc.

Ową atmosferę trzeba tworzyć, ale w prawidłowym wykorzystaniu całego ogromu działań kulturalnych na stałe wpisanych w rytm miasta trzeba pomóc przede wszystkim dobrą i skuteczną informacją.

Co to jest skuteczna informacja?

Pytanie chyba retoryczne. Nadawca musi być w pełni świadom skutku jaki informacja wywoła i obliczać ów komunikat nadawczy wedle przewidywanego efektu. Mamy w Łodzi system informacji kulturalnej od lat utrwalony. Został on wzmocniony bardzo potrzebnym wydawnictwem, jakim jest „Kalejdoskop". Szkoda, że go nie można dostać w kioskach. To z jednej strony dowód na jego popularność, a z drugiej sygnał dla redakcji, że może lepiej zmniejszyć ilość egzemplarzy sprzedawanych w teatrach, a zwiększyć obecność „Kalejdoskopu" w kioskach. Do istnienia „Kalejdoskopu" już się przyzwyczailiśmy, ale redakcja obok ciekawej części publicystycznej nie zawsze w pełni wykorzystuje możliwości pełnej i skutecznej informacji. Nie zawsze przecież potrafimy poprzedzić informacją imprezę kulturalną, która ma szansę stać się wydarzeniem. Nikt nie zdjął z nas jednak obowiązku podpowiadania (bardzo rzetelnego i opartego wyłącznie na kryteriach wartości artystycznych), które imprezy faktycznie warte są obejrzenia. W społeczeństwie tkwi przewrotne przekonanie, że skoro się imprezę reklamuje to znaczy, że nie ma chętnych do jej obejrzenia. Pomyślmy więc nad taką formą reklamy, aby dawała ona szansę przekonania odbiorcy.

Najszerzej do odbiorcy dociera plakat (ten wieszany na płotach). Niestety nie doczekaliśmy się jeszcze takiej sytuacji, gdy zostanie rozwiązany problem miejsc do plakatowania. Co prawda istnieje już powtarzalny system elementów, z których można składać słupy ogłoszeniowe, ale postawione dwa czy trzy nie czynią wiosny, a wykonawca ciągle tylko obiecuje, że postawi następne.

Plakatów mamy coraz więcej. Słyniemy w świecie z dobrego plakatu i faktycznie możemy od czasu do czasu z satysfakcją zatrzymać oko na ciekawym plakacie. Czy zawsze jednak starcza nam czasu na zagłębienie się w jego treść, czy tylko pamiętamy znak graficzny i kolorystykę? W zajęciach dnia codziennego i „przebiegając" przez śródmieście nie zatrzymamy się przed pojedynczym afiszem, zapamiętamy natomiast długie szeregi powtarzalnych sygnałów graficznych. I to chyba dobrze.

Inaczej jednak odczytamy ten sam plakat w spokoju architektury własnego osiedla, kiedy idąc po południu na spacer zatrzymamy się, aby odczytać na plakatach nie tylko co to za sztuka, ale kto będzie w niej grał. Sądzę, że warto by wprowadzić plakaty, które upowszechnią w społeczeństwie znajomość zespołów aktorskich poszczególnych teatrów. Takie „rodzinne fotografie" zespołów teatralnych na plakacie zachęcić mogą teatrem.

Czy jednak mamy szansę zatrzymać się na osiedlu przed plakatem aby go postudiować? Raczej nie, bo go tam po prostu nie ma.

Trwają prace nad przygotowaniem całościowej koncepcji informacji kulturalnej w mieście. Przygotowują ją na zlecenie Wydziału Kultury i Sztuki dwaj łódzcy plastycy: Łabędzki i Smoczyński znani z opracowania koncepcji plastycznej informacji na ul. Piotrkowskiej. Opracowanie to powinno wyposażyć nas w koncepcję całościową, która konsekwentnie realizowana rozwiąże problemy cząstkowe, z jakimi borykamy się na co dzień. Inaczej przecież będziemy informować w centrum miasta, inaczej na nowych osiedlach a jeszcze inaczej na przystankach tramwajowych. To miejsce jest chyba do tej pory nie wykorzystane, a oczekując na spóźniający się tramwaj czy autobus można by tylu rzeczy się dowiedzieć...

Są pewne formy informacji, do których się przyzwyczailiśmy i których nie zauważamy, ale które niemal mimo woli sączą w nas szczyptę świadomości o tym, co dzieje się w kulturze. Jest przecież w mieście wiele punktów informacyjnych łódzkich teatrów, w których szczególnie umiejętnie dobrane fotosy mogą zdziałać wiele.

Informacja o kulturze to nie tylko nadążanie za tym, co stanowi formę przemijającego spektaklu, przecież kulturą jest także substancja zabytkowa łódzkiej architektury — są miejsca związane z dorobkiem kulturalnym, z wielkimi postaciami. Koncepcja informacji kulturalnej uwzględnia i to. Warto przecież poprowadzić przypadkowego przechodnia (turystę) czy nawet rodowitego łodzianina systemem odpowiednich „kierunkowskazów" do najważniejszych obiektów kultury, chociażby do słynnych łódzkich „pałaców ziemi obiecanej". Niedługo zostaną umieszczone pierwsze tablice informacyjne „zdradzające" miejsca, w których żyli słynni Polacy — muzycy, literaci, malarze. Sami nie wiemy, ilu sławnych ludzi związało swoje życie z Łodzią.

Jak informować? Przecież, jeżeli informacją o zbliżającym się wydarzeniu artystycznym dużej rangi będą dwie linijki petitem na łamach prasy, a informacja o wydarzeniu wątpliwej jakości zajmie pokaźny obszar gazety to widz zostanie po prostu wprowadzony w błąd, sam pogubi się w tym, co jest wartościowe, a co nie, chyba, że sięgnie do wątpliwej jakości informatora, jakim niestety często jest „informacja szeptana", która już przed premierą ustala, że to będzie wydarzenie lub nie. Niestety, myli się.

Ciągle marzy mi się, abyśmy mieli wśród łódzkich dziennikarzy postacie, które jak wspomną na łamach gazety, że impreza będzie dużej klasy, to publiczność „wali jak w dym".

Na początku kwietnia 1980 r. byłem na kolejnym XI Przeglądzie Filmów o Sztuce w Zakopanem. Jest to impreza posiadająca swoją historię i swoją publiczność. Publiczność autentyczną, która uczestniczy w sposób pełny, aktywny, wręcz agresywny. Co dwa lata ludzie, którym bliskie jest popularyzowanie poprzez film kultury spierają się o sposób popularyzowania. Łódź ma na tym festiwalu wiele do powiedzenia. Oprócz filmów z WFO, które zdobywają liczne nagrody, dużą sensację wywołały plakaty zaprojektowane przez młodzież z Pałacu Młodzieży.

Ale wspominam o tym z innego powodu. Mówimy tu o imprezach autentycznych, potrzebnych i skutecznych, czyli o imprezach pełnych sal, kiedy nikt nie rozumie pojęcia „zorganizowana widownia". Właśnie na przeglądach filmów o sztuce, czy to na inauguracji, czy kolejnych przeglądach (mimo słońca na Gubałówce) nie ma wolnych miejsc. Taki festiwal to także system informacji, tylko w innej formie. To tu spotykają się nadawcy i odbiorcy, twórcy i widzowie, producenci i „rozpowszechniacze" i właśnie na tego typu festiwalach nadają tempa popularyzacji, inspirują twórców i stwarzają szanse wielostronnej oceny dzieła. To na obronę mądrych festiwali.

Wracając do XIII Festiwalu Poezji w Łodzi, myślę, że jego przebieg pokazał, że jeżeli jest to impreza autentyczna, to system swoistej informacji, komunikacji, będzie działał właściwie.

Jaka informacja jest skuteczna? Jednoznacznej odpowiedzi nie ma, ale warto sięgnąć do kilku podstawowych zasad skuteczności propagandy.

Po pierwsze — zasada prawdziwości czyli zgodność informacji zawartych w komunikatach propagandowych z osobistym doświadczeniem społeczeństwa. Po drugie — zasada informacji pożądanej — ludzie chętniej przyjmują za prawdziwe te twierdzenia i te informacje, które im odpowiadają, których urzeczywistnienie chcieliby widzieć w otaczającym świecie. Po trzecie — zasada emocjonalnego pobudzenia — polega na odwoływaniu się do uczuć społeczeństwa, ponieważ w skali masowej ma ona przewagę nad propagandą operującą wyłącznie argumentacją rozumową.

Zasad tych jest jeszcze kilka, ale podane wyżej wydają się być najważniejsze.

JAKA POWINNA BYĆ INFORMACJA O KULTURZE

TEATR

ACHILLES Z SOPOTU

Nie ma co do najnowszej premiery sceny „7.15" Teatru Jaracza strzelać z armat, gdyż byłby to anachronizm — Grecy armat nie znali. A poza tym nieczęsto zdarza się nam śmiać w teatrze spontanicznie i szczerze — nie odkrywajmy więc pięt achillesowych musicalu **Marka Sarta,** bo wtedy, być może, musielibyśmy uznać, że Achilles był stonogą. Grymaśny widz, gdyby się uparł, to odnalazłby sporo słabych miejsc w libretcie **Jonasza Kofty** i **Michała Sprusińskiego** (że, chwilami, skoro już jesteśmy w kręgu anatomii — ciągnięte za uszy) i w tekstach piosenek tychże autorów (że niemało w nich słowolejstwa), a także w muzyce **Sarta** (że płynie, płynie, ale po wyjściu z teatru niewiele się z niej pamięta). Skądże jednak brać grymaśnych widzów, jeśli komedii muzycznych i musicali rodzimego chowu prawie nie mamy, a jeśli mamy, to musimy je oglądać w teatrach muzycznych i operetkach, których aktorzy rozkładają je na obie łopatki bez konieczności sięgania do wrażliwej pięty.

Nie będę więc grymaśny i ja, tym bardziej, że więcej się bawiłem, niż krzywiłem, a poza tym niektórych błędów autorów i wykonawców nie jestem pewien z powodu nie najwyższej jakości aparatury odtwarzającej i nagłaśniającej (muzyka i chóry z play-backu).

Pomysł wzięli autorzy z komedii **„Achilles i panny" Artura Marii Swinarskiego,** dzięki czemu spotykamy Achillesa — przed jego wyruszeniem na Troję — w domu króla Definesa (według mitologii byłby u Likomedesa, króla Skyros) i jego małżonki Safony (!) — tej z Lesbos, poetki i erotomanki. Achilles żyje tam jako dziewczyna w otoczeniu 5 córek Safony i, być może, Definesa (być może, ponieważ Defines jest jedyną personą w królestwie nie przejawiającą żadnych ciągot erotycznych). Punkt wyjścia jest więc pieprzny, a i w dalszym ciągu autorzy sypią sporo przypraw, dzięki czemu moralnie czujemy się lepiej, gdyż dowiadujemy się, iż rozwiązłość w ogóle, a seks grupowy, sztafetowy i, że tak powiem, jednopłciowy itp. — jeśli chodzi o szczegóły, nie są wynalazkiem naszych czasów, że wszystko to możemy zwalić na starożytnych Greków.

Nie ma więc co grymasić. Tym bardziej, że i reżyser **Bogdan Hussakowski** i aktorzy świetnie się znaleźli w konwencji i dobrze się bawili na scenie, a to świadczy o tym, iż tekst dał im te możliwości. Mogła też sobie poszaleć, zwłaszcza w kostiumach, **Zofia de Ines Lewczuk,** a kostium Odysa („król Itaki i owaki") — tropikalny ubiór rządców Commonwealth'u, powitany został, co się rzadko zdarza, brawami. Bawi to przedstawienie farsową przesadą, przejawiającą się w grze aktorskiej i właśnie w kostiumach, sięgających po pastisz (dodajmy do tego jeszcze kostium Dejdamii, rodem ze współczesnego, ekstrawanckiego salonu mód). Poszła ta zabawa tak daleko, że aż się chwilami rozbiegła z muzyką; chwilami żałujemy, że zbyt mało w niej (w muzyce) dowcipu, a zbyt wiele Sopotu.

Ma to przedstawienie, rozbuchane aktorsko, kilka wręcz perełek komediowych. **Włodzimierzowi Skoczylasowi** można chyba zaliczyć Definesa do jego najlepszych ról; zagrał tę postać z cicha pęk, z nieomylnym wyczuciem śmieszności tekstu i sytuacji. Kapitalni są również **Grzegorz Hieronimski** jako Pyton, robot kuchenny i seksualny, mizerny fizycznie a potężny potencyjnie oraz **Halina Musiałówna,** która zagrała Beotkę brawurowo; nieodparcie śmieszna i pełna wdzięku, co uratowało rolę przed trywialnością. Trzeba jeszcze w tej grupie umieścić **Alicję Zomer** (Tetyda); z roli w sumie niewielkiej wyciągnęła wiele zabawnych tonów, a zwłaszcza ten, że „chciałaby, a boi się." Wreszcie **Ewa Mirowska,** jako Safona zarysowana parodystycznie, grubszą nieco kreską, upozowana na bywalczynię przyjęć na Broadway'u. W drugiej części spektaklu dołączył do nich **Jerzy Koleczko,** którego Achilles spełniał z werwą i z gorliwością neofity świeżo odkryte obowiązki mężczyzny.

Pozostała grupa postaci o mniej wyrazistych rysach komediowych — Odys **Stanisława Kwaśniaka,** córki Safony grane przez **Barbarę Marszałek, Hannę Molendę, Wandę Grzeczkowską, Hannę Bieluszko i Małgorzatę Rogacką-Wiśniewską,** obciążone były w większej mierze zadaniami wokalnymi. Wywiązują się z nich aktorzy bez zarzutu, potwierdzając jeszcze raz fakt, że Teatr Jaracza ma wielu dobrze śpiewających aktorów. Na pierwszy plan wybija się tu **Małgorzata Rogacka-Wiśniewska** (kapryśna Maja), wraz ze swym partnerem z „Wieczoru piosenek Hertla" — **Stanisławem Kwaśniakiem.**

Jeśli więc ktoś ma wolny wieczór, głowę nabitą kłopotami i problemami — polecam wizytę w teatrze przy ulicy Traugutta. Rozerwie się lekko, łatwo i dość przyjemnie.

JERZY KATARASIŃSKI

Teatr im. S. Jaracza w Łodzi, Scena „7,15" „Achilles i miłość" — musical Marka Sarta z librettem Jonasza Kofty i Michała Sprusińskiego. Reżyseria Bogdan Hussakowski, scenografia Zofia de Ines Lewczuk, kierownictwo muzyczne Piotr Hertel, aranżacje Marek Czeszek i Juliusz Wacławski, choreografia Jerzy Graczyk. Premiera 6 czerwca 1980 r.

MUZYKA

DZIADEK DO ORZECHÓW

Któż z nas nie zna pięknej baśni o brzydkim co prawda, ale niesłychanie odważnym w boju Dziadku do orzechów — zabawce, która ożywszy w wyobraźni swojej małej właścicielki, prowadzi ją w zaczarowane światy...

Niezwykłemu, tajemniczemu, mrocznemu nieco klimatowi opowieści o bohaterstwie Dziadka do orzechów i o tym co z jego obecności w dziecięcym świecie wynikło, urokowi narracji, a wreszcie subtelnemu wdziękowi bohaterów zdarzenia opowiedzianego przez Ernesta Teodora Amadeusza Hoffmanna uległo kilka już pokoleń czytelników jego bajek. Piotr Czajkowski zaś uległ namowom dyrekcji Teatru Maryjskiego w Petersburgu i skomponował pełnospektaklowy balet, którego bohaterowie z tej właśnie mądrej i pięknej bajki „pana Hoffmanna" przybywszy na scenę od dziewięćdziesięciu już niemal lat prowadzą kolejne roczniki „milusińskich" w zaczarowany świat muzyki i tańca.

Wielki kompozytor do postawionego przed nim zadania podszedł z całą powagą. Przyszły najmłodszy odbiorca jego dzieła wydał mu się godny największego twórczego trudu. To przecież od pierwszego kontaktu dziecka z teatrem i muzyką, od jakości tego kontaktu zależy jego późniejszy smak artystyczny. To właśnie te dziedziny sztuki w największym bodaj stopniu kształtują dziecięcą wrażliwość, rozbudzają i kierunkują wyobraźnię, to one dostarczają pierwszych artystycznych wzruszeń, przeżyć i emocji, których ślady pozostają na całe życie w psychice i odnotowującej wszystko, bardzo jeszcze w dziecięcym wieku chłonnej pamięci.

Z powagą odpowiadającą zarówno randze kompozytora i dzieła, jak i wadze problemu repertuaru dla najmłodszych widzów podszedł do inscenizacji „Dziadka do orzechów" Teatr Wielki, który zaprezentował go na swej scenie po raz pierwszy w dniu poprzedzającym „najfajniejsze święto w roku" czyli Międzynarodowy Dzień Dziecka.

Serdeczny stosunek teatru do najmłodszej publiczności wyraził się przede wszystkim godną uznania troską o nadanie dziełu Czajkowskiego najstaranniejszego kształtu inscenizacyjnego. Ale właśnie ta troska sprowadzająca się jedynie do szerokiego wyjścia naprzeciw już wyrobionym upodobaniom naszych dzieci zdominowała wszystkie działania i koncepcję artystyczną twórców spektaklu do tego stopnia, iż ograniczyli się oni do przekazania prościutkiej fabuły za pośrednictwem najprostszych układów choreograficznych prezentowanych w ogromnie konwencjonalnej, acz istotnie ładnej w swoim typie scenografii. Pozwalam sobie zatem wyrazić żal i dać upust tej odrobinie pretensji do realizatorów spektaklu o to, że nazbyt chyba szybko zrezygnowali z wypełnienia spoczywającego na teatrze obowiązku pobudzania nowych, coraz szerszych kręgów wyobraźni dziecka przez proponowanie mu ciekawszych niż znane dotychczas rozwiązań. Najmłodszy odbiorca musi też powoli uświadamiać sobie wkład artysty, żywego tak jako on człowieka, w oglądane dzieło, musi czuć zaproszenie do wspólnej zabawy, do wspólnego udziału w zdarzeniu artystycznym, musi zacząć stawać się partnerem, aktywnym odbiorcą spektaklu będącego przecież czymś więcej niż serią żywych obrazów spełniających się na jego oczach za sprawą ożywionych marionetek.

Choreograficzny kształt spektaklu będący dziełem Jarosława Piaseckiego czyni przedstawienie niezwykle statycznym. Konieczna i zrozumiała ze względu na udział w przedstawieniu dużej grupy uczniów naszej szkoły baletowej prostota poszczególnych układów nie musi, jak sądzę, wykluczać większej ich dynamiczności i choćby nieco bogatszego, ale i szlachetniejszego rysunku. Spektakl baletowy w większym jeszcze stopniu winien zachwycić dziecko (nawet jeśli jeszcze poza jego świadomością), finezyjną urodą tańca scenicznego.

Oprawa scenograficzna (Adam Kilian) odpowiadająca ogólnym wyobrażeniom o wnętrzu zasobnego mieszczańskiego domu, o świecie lalek, ołowianych żołnierzyków, choinkowych prezentów i o cudownej krainie tańczących śnieżynek wydała mi się po prostu ładna. Jej urodę określić jednak muszę mianem typowej, poprawnej i może nawet doskonałej (w proporcjach i kolorystyce), ale jakby pozbawionej fantazji, nie pozostawiającej najmniejszego nawet na tę fantazję marginesu.

W spektaklu — obok solistów i zespołu baletowego Teatru Wielkiego — wzięli też udział uczniowie łódzkiej szkoły baletowej. Zgromadzonych na sali widzów ujęli oni swym wdziękiem i zapałem z jakim wykonywali wszystkie układy choreograficzne. Wdzięk ten wielokrotnie pokrywał — nieporadność warsztatu wykonawczego i zrozumiałe z racji braku doświadczenia braki techniczne. Z drugiej jednak strony zarówno owa nieporadność jak i ewidentne braki podnosiły dziecięcy wdzięk ich tanecznych prezentacji. Udany występ przyszłych tancerzy pozwala z optymizmem patrzeć w przyszłość naszego (tzn. łódzkiego) baletu, jego teraźniejszość bowiem niepokoi mnie nie po raz pierwszy. W oglądanym przeze mnie spektaklu zespół baletowy Teatru Wielkiego zaprezentował zadziwiającą zgoła w swym rozmiarze umiejętność konsekwentnego rozmijania się z rytmem i brak synchronizacji. Jednoczesność gestu wydaje się być dla naszego zespołu celem nieosiągalnym, czego „najlepszym" przykładem było wykonanie tańca śnieżynek. Na tle ogromnie starających się adeptów sztuki baletowej, zespół profesjonalistów wypadł raczej słabo (że nie wspomnę o porównaniu go z prezentującym się niedawno na naszej scenie zespołem znakomitych tancerzy radzieckich). Nie usatysfakcjonował nas wielki walc, nie zachwyciły prezentowane w scenie balu tańce ludowe różnych narodów. Wypada więc żałować, że starannego i precyzyjnie zarysowanego kształtu inscenizacyjnego wykreowanego przez choreografa i scenografa, zespół naszych tancerzy nie wypełnił żywą treścią najwyższej jakości. Interesująco zaprezentowali swój kunszt soliści, z których grupy wyróżnić pragnę niezawodnego jak zwykle Kazimierza Wrzoska w partii Księcia. Corps de ballet zdawał się traktować swój udział w spektaklu jako wprawkę, bądź konieczny przed poważniejszymi zadaniami trening. Mnie jednak baletowy spektakl dla dzieci wydaje się zadaniem najważniejszym i godnym najpoważniejszego potraktowania.

Myślę, że postawione przed sobą zadanie z większą powagą potraktować powinna także orkiestra. Obok bowiem fragmentów granych przez nią bardzo pięknie i czysto, pojawiły się (w drugim zwłaszcza akcie) zbyt wyraźnie słyszalne potknięcia intonacyjne. Baczną zwracający uwagę na muzyczną stronę przedstawienia sprawnie prowadzący je Tadeusz Kozłowski utrzymał we właściwym tempie. Rytm spektaklu narzucała obecność w nim najmłodszych tancerzy i fakt, iż tak swoiście „wmontowali się" oni w całość widowiska wydaje się być także dużą zasługą jego kierownika muzycznego.

„Dziadek do orzechów" podobał się dzieciom i aczkolwiek o to właśnie chodziło teatrowi najbardziej, to jednak winien on rozbudzić jeszcze większe „apetyty" młodych odbiorców oraz zaspokajać je ku większemu dla siebie uznaniu.

EWA PANKIEWICZ

FILM

ZBYT MAŁY DYSTANS

1

Po paru obejrzanych krakowskich festiwalach filmów krótkometrażowych nie umiałbym ich bez specjalnego przygotowania (archiwalne programy, gazety festiwalowe itp.) odróżnić. Może zacząłem jeździć do Krakowa w złym momencie? Może w 1974 roku trzeba było raczej skończyć niż zaczynać?

W pamięci pozostają tytuły. Jest ich niewiele: „Życiorys", „Wizyta", „Zderzenie czołowe", „Szpital", „Tam i z powrotem", „Zegarek". Jeszcze parę innych. Reszta jest niezindywidualizowana. Te czterysta filmów, te dyskusje Forum SFP — podobne, wciąż te same, jednakowe. Festiwal gdański chociaż na Forum ma swoje przypływy i odpływy, coś się zmienia, a i na ekranie „Potop" zastępowany jest „Ziemią obiecaną", ona — z kolei — ustępuje przed „Bez znieczulenia" i „Amatorem". W Krakowie wejście do kina „Kijów" kojarzy się z niezmiennością i nieodwracalnością ponurego wyroku wydanego niegdyś na film dokumentalny. Nie przez administrację, która jest raczej tylko narzędziem ducha czasu. Po prostu przez rzeczywistość, która poszła gdzieś swoją własną, oglądaną na co dzień (poza kinem) drogą. Drogą, na której niechęć do spoglądania w swoje lustrzane odbicie jest w równym stopniu oznaką instynktu samozachowawczego, jak i rezygnacją z ostatniej być może szansy na oczyszczające samopoznanie. Drapieżna publicystyka tzw. „czarnej serii" końca lat pięćdziesiątych była wyznaniem wiary w możliwość społecznego oddziaływania filmowego dokumentu, realność ekranowej terapii. Bezlitosna ironia Piwowskiego po roku 1970 wyrastała z nadziei na powrót do autentycznych kontaktów międzyludzkich po ujawnieniu sztuczności i zakłamania społecznego, środowiskowego, towarzyskiego rytuału. Później jednak stała się rzecz najbardziej dla filmu niebezpieczna: utracił on wiarę w swoją skuteczność, społeczną sensowność. Zaczęło się okazywać, że jest potrzebny w funkcji usługowej. A przecież po poprzednich doświadczeniach nie mógł już z niczego zrezygnować. Mógł tylko przestać istnieć.

2

„Dzisiaj możemy sobie spokojnie i bez zbędnych emocji powiedzieć, że gatunek, o który się kłócimy i bijemy od tak wielu lat w gruncie rzeczy w Polsce nie istnieje" (Krzysztof Kieślowski, w trakcie dyskusji Forum SFP). Komu potrzebny jest film dokumentalny? Komu jest potrzebne nie statystyczne, nie weryfikowalne, lecz indywidualne, we własnym imieniu poznawanie rzeczywistości. I to w dodatku publiczne. Tak się ułożyło w historii, że sztuka ma u nas szczególnie wygórowane ambicje społecznego oddziaływania. Film dokumentalny — gdyby był — sprawiałby kłopot (casus: niepoprawny Łoziński, uparty Kosiński, nie dający za wygraną Skurski). Wysłużone zdanie o znikomej intensywności dziennika telewizyjnego można zastąpić przypomnieniem, że w kolejnych numerach kroniki filmowej coraz więcej miejsca przeznacza się na ciekawstki ze stadionów, salonów mód i egzotycznych wybrzeży. W tej sytuacji film dokumentalny — z wyjątkowo czułym sumieniem — rozpoczyna przygotowania do działalności publicystycznej. Natychmiast więc pojawią się zarzuty niedbałości formalnej, dosłowności tezy, pospolitej interwencyjności. Tak, jakby poszczególne obszary kultury można było trwale oddzielić, rozpatrywać w odosobnieniu, bez uwzględnienia, że tworzą całość, która powstaje w tym samym klimacie intelektualnym, moralnym — bez podziału na kino, telewizję i literaturę. Rzecz rozpoczyna się już na samym początku — w szkole: „Istnieją dwa konkurencyjne modele kształcenia przyszłych reżyserów. Pierwszy zakłada, że rolą szkoły jest rzemieślnicze przygotowanie do zawodu bez stawiania pytań „po co?" i „dlaczego?". W rozumieniu drugiego — pytania „po co?" i „dlaczego" są podstawą kształcenia zarówno warsztatowego, jak i etycznego. Drugi model zakłada, że nie można oddzielić warsztatu od światopoglądu. Konsekwencje decyzji na pierwszy lub drugi model nauczania są poważne. Pytania „po co?" i „dlaczego?" są w historii kinematografii obciążone złą sławą. Z drugiej strony ich brak grozi moralną atrofią, zwłaszcza filmu krótkiego. Rzecz polega na tym, w jakim celu są zadawane. Żeby rozwijać, czy hamować. W szkole tych pytań nie zadaje się w ogóle" (Dominik Wieczorkowski, III rok reżyserii PWSFTviT). To nie „Szkoła podstawowa" Zygadły — tylko jej kontynuacja.

3

Później jest debiut. Najczęściej właśnie w krótkim metrażu. Nierzadko jest to film wykonany na zlecenie jakiejś instytucji. Może stać się wypracowaniem na zadany temat. I jeżeli jest udany nie musi to dowodzić wyższości tzw. filmów „zleceniowych" (na najszlachetniejsze nawet tematy) nad kinem „autorskim" (obciążonym podstawowymi grzechami własnego pomysłu). „Film autorski w żarnach dyrekcji i środowiska zmielony został na zleceniówki" (Krzysztof Krauze Koło Młodych SFP). To zdanie na pewno nie jest „zlecone". Oczywiście: można by przytoczyć argumenty na korzyść przetrzymywania młodych w stanie myślowego i formalnego uśpienia. Cytowany przed chwilą wymienił trzy: łatwość, szybkość i bezkolizyjność, jako cechy produkcji zleconej. A przecież doświadczenia łódzkiej WFO sprzed lat paru (konsekwentne przestrzeganie zasady swobodnego startu), jak i opinie na temat pokazu filmów studenckich PWSFTviT na tegorocznym festiwalu — przekonują, że robienie filmów to nie tylko rzemiosło, a nawet nie przede wszystkim rzemiosło. Dwa lata temu w Krakowie Kieślowski mówił o fałszywym mitologizowaniu potrzeby tzw. „siły przebicia" w walce o kamerę. Dziś pojawił się nowy problem. Przedstawiciele władz kinematografii odnoszą się do poglądów o szkodliwości filmów na zamówienie ze sporą rezerwą. Twórcy i administratorzy przytaczają fakty, liczby. Może ważniejsze są nie dające się wyliczyć następstwa faktów — w postaci filmów prezentowanych na festiwalu. Wizja twórcy — maszyny do pisania staje się znowu faktem. „W tradycyjnym układzie autor filmowej relacji dokumentalnej świadczy dla pedagogiki społecznej, oświecenia publicznego, propagandy tzw. usługi różne" (Rafał Marszałek — krytyk filmowy, przed siedmiu laty). Ten układ wraca.

4

Trudno powiedzieć, czy wczorajsi debiutanci zasiądą w telewizyjnym studio za lat kilkanaście w programie „Klasycy dokumentu", tak, jak zdarzyło się to aktywnej filmowo od roku 1959 Krystynie Gryczełowskiej. Prawdopodobnie nie, bo klasycznymi stają się okresy rozkwitu, a nie recesji. Jednak to, co dzieje się dziś w filmie dokumentalnym polega między innymi — o czym mówiono na Forum — na braku kontynuacji, zaczynaniu wszystkiego od początku. Prezentowane w czasie festiwalu (z racji jubileuszu — to już po raz dwudziesty) filmy nagrodzone w latach poprzednich — zwracały uwagę nieczęstymi dziś zaletami formalnymi. „Hair" Piwowskiego to po prawie dziesięciu latach uosobienie nowoczesności w wyborze samej metody. Dziś nie tylko rzeczywistość sobie i film sobie, ale także zależności pomiędzy poszczególnymi warstwami filmu uległy całkowitemu rozchwianiu. Związek sytuacji filmu dokumentalnego z wydarzeniami ogólnospołecznymi potwierdzają więc nie tylko okresy pomyślne, ale i trudne. Te przerwy stwarzają pustkę. „Telewizja w tej chwili nas — ludzi jeszcze żywych i w pełni sił twórczych — prezentuje jako klasyków, w tonacji nostalgicznej pokazuje nasze filmy" (Krystyna Gryczełowska na Forum SFP). Taka sytuacja zmniejsza wagę błędów popełnianych wobec filmów tych twórców, którzy nie mogą być uznani za klasyków. Błędów — tradycyjnie w wykonaniu komisji selekcyjnej festiwalu. Dlatego może bez odpowiedzi (niestety) pozostały pytania dyrektora programowego WFO — Tadeusza Szczepańskiego o przeoczenie zgłoszonych filmów Andrejewa, Barańskiego, Włodarczyk, a studenci PWSFTviT nie kontynuowali ubiegłorocznej akcji przyznawania nagrody „Złotej Szminki" (za „najlepszy makijaż współczesności"). Emocje lat poprzednich wygasły. „Sprawiedliwości stało się zadość" podsumowywał minister Juniewicz w trakcie uroczystego zamknięcia festiwalu — mówiąc o werdykcie jury. Zdanie to nabiera sensu bardzie metaforycznego, niż zamierzony.

5

Na XX Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych wyświetlono parędziesiąt filmów, rozdano nagrody, zorganizowano kilka ważnych imprez filmowych na marginesie konkursu. Jednak pisanie o filmach — poza naprawdę nielicznymi wyjątkami — jest podtrzymywaniem fikcji. Tegoroczny werdykt jury zawierał następujące zadania: „Nagrody głównej w postaci „Brązowego Lajkonika"(...) jury postanowiło nie przyznawać. Jury rozpatrywało kilka filmów, wyróżniających się społeczną wagą poruszonych w nich problemów, żaden jednak nie osiągnął takiego poziomu artystycznego, który kwalifikowałby go do nagrody w tym gatunku". Jednocześnie Grand Prix zdobył film — co jest wyjątkiem — animowany. Przyznanie nagrody „Ostremu filmowi zaangażowanemu" Juliana Antonisza — temu destylatowi ironii, jest zabiegiem metaforycznym z paru powodów: jednym jest zapewne fakt, że film ten zrealizowany został w ogóle bez użycia kamery (malowany bezpośrednio na taśmie). Nie będę zresztą nawet próbował go streszczać, aby zachować do końca tonację serio. Laureaci „Srebrnych Lajkoników" („Puls 220" i „Ballada „Romantyczność" Skurskiego oraz „Napisz mi coś wesołego" Chodakowskiego) wyróżniają się na tle pozostałych i umacniają popularność tegorocznego werdyktu wśród widzów. Dwa filmy Skurskiego (powraca motyw przewodni jego twórczości: opozycja pomiędzy światem a oczekiwaniami, ambicjami bohaterów filmów) przekonują, że pozornie chłodny dystans do tematu może zaowocować emocjonalnym stosunkiem do postaci — nawet wówczas, gdy teza podana jest wprost. Poza wymienionymi jeszcze parę filmów. I na tym koniec. A w wytwórniach nie ma ponoć ostrych, odważnych scenariuszy, do jakich już drugi rok z rzędu zachęca twórców minister kultury i sztuki, którego słowa podobno najbardziej serio potraktował Łoziński. W roku 1980 na festiwalowym ekranie dominujące były dwie tendencje: dydaktyczna i estetyzująca. Pozytywne, wzorcowe postaci pojawiały się na tle poetyckich, zapatrzonych i zasłuchanych w siebie filmów o tzw. walorach operatorskich. Ucieczka rzeczywistości sprzed kamery, a twórców od rzeczywistości — wprowadza na ekrany dwojakiego rodzaju fikcję. Myślową i estetyczną. W sensie poznawczym i artystycznym. W gruncie rzeczy nawet ta fikcja społecznie nie istnieje — po prostu nie ma jej w kinach. W ciągu ostatnich miesięcy nie udało mi się w żadnym łódzkim kinie zobaczyć ani jednego filmu krótkiego (natomiast sporo reklam). Ale to temat na inną okazję, choć związany ze sprawą.

6

W ostatnich ujęciach nagrodzonego za debiut filmu „Taki mały dystans" Haliny Poznańskiej-Wert — filmu o niegdysiejszej świetności filmowej i teatralnej wybitnej, nieżyjącej już aktorki — pojawia się słup ogłoszeniowy z plakatem „Klinczu" Andrejewa, a potem w zbliżeniu fragment przedartego napisu „w roli głównej" na jakimś starym plakacie. Te dwa ujęcia — poza rozlicznymi konotacjami — zawierają błyskotliwą, metaforyczną syntezę unieważniania przez czas czyichś ambicji, oczekiwań, planów, nadziei — wszystkiego, co było najważniejsze, a dziś już nawet nie wiadomo, kto w roli głównej Sprawy filmu dokumentalnego, całego filmu krótkiego są podstawowe dla dalszego rozwoju naszej kinematografii, choć nie wykluczone — na zasadzie ironii historii — że kiedyś obecna sytuacja uznana zostanie za przejściowy kryzys przełomu lat 1970/80. Dopóki jednak tak nie jest, dopóki mamy zbyt mały dystans do dzisiejszych spraw, a kino nie pomaga tego dystansu zwiększyć — trudno nie obawiać się, że w następnym roku nic nas w Krakowie nie czeka. Pozostaje problem następstw takiego stanu rzeczy: „Razem z tym gatunkiem (film dokumentalny przyp. — PJ) odpada jedno z istniejących do niedawna miejsc uświadamiania problemów. Problemów natury społecznej, politycznej, psychologicznej". (Krzysztof Kieślowski, Forum SFP).

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

AMBROISE JOBERT

Znakomity historyk francuski Ambroise Jobert znany jest polskiemu czytelnikowi z pewnością mniej, niżby należało się tego spodziewać, znając twórczość tego uczonego. Jest historykiem, który całe swoje twórcze życie poświęcił badaniu dziejów naszego kraju oraz popularyzacji wiedzy o historii Polski w społeczeństwie francuskim. Urodzony w Grenoble w 1904 r., jeszcze [illegible] młody człowiek przybył do Polski, gdzie przez trzy lata do 1927 r. pełnił obowiązki profesora w Instytucie Francuskim w Warszawie. Lata te miały przesądzić o całej jego dalszej karierze naukowej. Z inspiracji wybitnego historyka polskiego, utrzymującego bliskie stosunki z francuskim światem naukowym Marcelego Handelsmana przystąpił A. Jobert do badań nad dziejami Komisji Edukacji Narodowej. Samodzielnie przekopał się przez ogromne, istniejące jeszcze wtedy — dziś bezpowrotnie utracone — materiały archiwum Komisji, które znajdowały się niegdyś w Archiwum Głównym Akt Dawnych. Zgłębił mnóstwo współczesnych druków, zapoznał się z literaturą przedmiotu. Po wyjeździe z Polski na inną placówkę nie zaniechał podjętej pracy, utrzymując nieprzerwanie żywe kontakty z polskim światem naukowym.

Latem 1941 r., w czasie, kiedy mało które naukowe środowisko na Zachodzie chciało się zajmować polską problematyką historyczną, obronił A. Jobert na Uniwersytecie w Lyonie tak zwany wielki doktorat. W celu jego uzyskania pisze się we Francji jedną wielką książkę, której nawet fragment nie może być przedtem ogłoszony drukiem, będącą fundamentalnym opracowaniem jakiegoś ważnego naukowego zagadnienia, do czego dołącza się drugie dzieło, już mniejsze, stanowiące tzw. tezę suplementarną. Ponadto należy się poddać wielogodzinnemu publicznemu egzaminowi, odbywając przed gremium złożonym z profesorów, którzy zadają najróżniejsze pytania, obronę doktorską. Trwa ona zwyczajowo nie mniej niż pięć godzin, pytania bywają najróżniejsze — nikt nie wymaga, by były związane z tematyką badań delikwenta — a cała uroczystość odbywa się przy udziale żywo zainteresowanej nią publiczności.

A. Jobert uzyskał więc swój wielki doktorat na podstawie dwóch dzieł, obu z historii Polski. Pierwsze, będące tzw. tezą główną, była to obszerna monografia, poświęcona historii Komisji Edukacji Narodowej; drugą stanowiła znacznie mniejszą od niej książka o stosunkach polskich magnatów okresu Oświecenia z fizjokratami francuskimi. Wielkie dzieło francuskiego uczonego, które ukazało się drukiem w okupowanym Paryżu w 1941 r. (ze względu na swą tematykę nie mogło być jednak wówczas rozpowszechniane, tak, że specjaliści mogli się z nim zaznajomić dopiero po zakończeniu wojny), otwarło mu drogę do uniwersyteckiej katedry w rodzinnym Grenoble. W 1945 r. A. Jobert został wykładowcą, w 1948 r. zaś profesorem historii nowożytnej na miejscowymi uniwersytecie, pełniąc swe obowiązki aż do 1969 r., kiedy przeszedł w stan spoczynku. Nie przestał nadal zajmować się historią Polski, ogłaszając szereg studiów z jej zakresu, a także w masowej edycji „Que sais-je?" (1953) popularny zarys dziejów naszego kraju, przeznaczony dla szerokich kół francuskich czytelników. W nowej książce, wydanej w 1974 r., a stanowiącej wynik ponad dwudziestoletniej pracy, poświęconej Polsce w dobie kryzysu chrześcijaństwa w XVI i XVII w., A. Jobert — jak to podkreśla nasz znakomity znawca tej epoki prof. Henryk Barycz — „ukazał proces powstawania i kształtowania się wielkiej idei tolerancji i wolności sumienia, współżycia z sobą różnych wierzeń i wyznań". Historyk z dalekiego Grenoble nadal utrzymuje żywe stosunki z Polską, często odwiedza nasz kraj. Przed laty był też w Łodzi i wygłosił w Uniwersytecie Łódzkim piękny wykład, związany ze swymi badaniami nad problematyką społeczno-religijną czasów Odrodzenia i Reformacji.

Przyswojenie polskiemu piśmiennictwu historycznemu dzieła A. Joberta o Komisji Edukacji Narodowej było sprawą, o którą upominano się u nas wielokrotnie — przypomnę, że przy różnych okazjach pisałem o niej także i na tym miejscu. Nawoływania nie pozostały bez echa: oto pod koniec 1979 r. (teoretycznie, bo tak na prawdę, dopiero przed dwoma miesiącami) ukazał się u nas, nakładem Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN, wydany przez Ossolineum obszerny tom: **„Ambroise Jobert — Komisja Edukacji Narodowej w Polsce (1773—1794). Jej dzieło wychowania obywatelskiego"**, przetłumaczony i uzupełniony przez prof. Mirosławę Chamcównę z Uniwersytetu Jagiellońskiego, opatrzony piękną przedmową przez wybitnego historyka kultury prof. Henryka Barycza.

Polskie wydanie znakomitej pracy uczonego francuskiego spłaca dług, jaki zaciągnęliśmy u A. Joberta, któremu winniśmy przecież najwybitniejsze w całej dotychczasowej literaturze — powiedzmy to otwarcie — naukowe opracowanie tak ważnego zagadnienia z naszych dziejów jakim jest działalność Komisji Edukacji Narodowej. Polskie wydanie dzieła historyka z Grenoble udostępnia je gronu czytelników, którym trudno byłoby korzystać z francuskiego egzemplarza książki, czy ze względu na trudności językowe, czy z powodu, że nie jest ona znów tak łatwo dostępna w naszych bibliotekach. „Książkę A. Joberta, dzieło wielkiej sumienności i dociekliwości badawczej — pisze H. Barycz — uznać należy za monografię klasyczną jednego z najświetniejszych rozdziałów naszych dziejów cywilizacyjnych. Jest ona najpełniejszym i najrozleglejszym zarysem tej wiekopomnej instytucji. Wagę jej powiększa fakt, że wzniesiona została na rozległym, w swej najistotniejszej części przepadłym w wirach ostatniej wojny, materiale źródłowym".

ANDRZEJ F. GRABSKI

JERZY WYSZOMIRSKI

Gdyby żył, miałby dziś 80 lat. Stało się jednak inaczej, a decyzję podjął **Jerzy Wyszomirski** sam — ćwierć wieku temu w czerwcową noc 1955 roku.

Musiało minąć kilkanaście lat od tej śmierci, aby zdecydowano się wydać niewielki tom zbiorów i felietonów **Jerzego Wyszomirskiego.** Dziś jest to już pozycja unikalna — wiadomo, wydana w 1967 roku w nakładzie 1500 egzemplarzy.

Kim był **Jerzy Wyszomirski?** Był nauczycielem, poetą, felietonistą i eseistą, był znakomitym tłumaczem, mającym w dorobku wiele dzieł rosyjskiej klasyki. Debiutował w Wilnie w roku 1923 tomem wierszy „Całopalenie". Nie znam tych wierszy, nie znalazły się w żadnej antologii z tamtej epoki, choć zapewne są warte przypomnienia. Karol Wiktor Zawadziński recenzując ów debiutancki tomik, pisał: „Jerzy Wyszomirski jest niewątpliwym talentem".

Ale nie zasłynął jako poeta. Związał się z wileńskim „Słowem" Cata-Mackiewicza i w krótkim czasie felietonista „Wysz" zrobił błyskotliwą karierę, stając się znanym i popularnym zarówno w Wilnie, jak i w Warszawie.

W czasie okupacji przebywał w Warszawie, wykładał na tajnym uniwersytecie, współpracował z konspiracyjnym czasopismem „Demokrata" i jego satyrycznym dodatkiem „Moskit". Po wojnie osiedlił się w Łodzi, gdzie przybył z maleńką wówczas córeczką Kiką. Rozpoczął tu współpracę z „Rzeczpospolitą" Jerzego Borejszy. Po latach **Jan Huszcza** tak napisze o Wyszomirskim: **„Był w przedwojennym Wilnie — mieście zawsze bogatym w literackie i dziennikarskie talenty — najwybitniejszym i najpopularniejszym felietonistą. Jego pseudonim „Wysz" przyciągał przez wiele lat czytelników „Słowa", u jednych budząc żywą aprobatę — u drugich — stanowczy sprzeciw..."**

Ale „Wysz" uprawiał z powodzeniem nie tylko felieton dziennikarski. Pozostawił po sobie wiele esejów i dociekliwych artykułów oraz olbrzymi dorobek przekładowy, zwłaszcza z klasyki rosyjskiej. **Tłumaczył Leskowa, Gogola, Szczedrina, Hercena, Lwa Tołstoja, Czechowa i Gorkiego.** Znawcy twierdzą, że robił to w sposób znakomity.

Na fotografii, we wspomnianym tomie szkiców („Spod kreski" WŁ — 1967) widzimy szczupłego pana o ascetycznej twarzy, o oczach ukrytych za szkłami okularów. Podobno był zgryźliwy i złośliwy — jest to cecha ludzi inteligentnych. Był nim niewątpliwie, był także rzetelnym erudytą, który łączył umiłowanie literatury ojczystej z przywiązaniem do klasycznej literatury rosyjskiej i zachodnioeuropejskiej. Może był zbyt inteligentny jak na tamte czasy?

Nie znałem go osobiście. W jego pokoju, zawalonym książkami, na trzecim piętrze domu przy ulicy Mickiewicza 8 bywałem nieraz, ale już po śmierci Wyszomirskiego. Nie znam jego twórczości — esejów i szkiców znam tyle, ile zmieściło się w książce zredagowanej przez Huszczę i Koprowskiego. Ale z tej tylko jednej książki wyłania się oblicze pisarza fascynującego erudycją, błyskotliwością stylu, oryginalnością myśli, bezkompromisowością... Może za wiele tego było jak na tamte lata?

Po wojnie Wyszomirski poświęcił się głównie przekładom. Powiedzmy od razu, że nie zawsze tłumaczył to co chciałby. Irytowały go schematyzmy i uproszczenia, ale każdy przekład, który wyszedł spod jego pióra, miał styl i klasę prawdziwej literatury.

Był poza tym rasowym dziennikarzem, ze starej, dobrej szkoły. Jak wspomina Jan Koprowski — mawiał, że należy pisać wciąż, codziennie. Tylko w ten sposób, dochodzi się do opanowania tak czułego instrumentu jakim jest język. Liczba napisanych przez niego felietonów przekracza dwa tysiące pozycji. We wspomnianym przeze mnie wyborze pomieszczono niespełna sześćdziesiąt.

Przed wojną wydał cztery tomy wierszy. Także i one utonęły w mroku zapomnienia. Myślę, że niesłusznie. Myślę, że warto, że trzeba ocalić od zapomnienia oryginalną twórczość **Jerzego Wyszomirskiego.** Nie zrobiono tego w ćwierćwiecze jego śmierci — należy jednak tego bezwzględnie dokonać.

Na domu literatów przy ulicy Mickiewicza 8 widnieje tablica poświęcona pamięci pisarzy, którzy swoje losy — na krócej lub dłużej — związali z tym miastem. Wśród nich znajdujemy nazwisko **Jerzego Wyszomirskiego.** To piękny dowód pamięci — piękniejszym wszakże byłaby książka przypominająca twórczość pisarza, którego grób znajduje się na łódzkim cmentarzu.

WIDOK

MÓJ PUNKT WIDZENIA

W starych filmach lub sztukach, w powieściach z życia cyganerii można spotkać postać stróża, pachołka kamienicznika, który nęka ubogich a szlachetnych bohaterów, nachodząc ich i domagając się opłacenia zaległego czynszu, grożąc w imieniu pryncypała wyrzuceniem na bruk. Nie życzyłbym dziś sobie takiego gospodarza. Takich zresztą dziś już nie ma. Nikt nikogo na bruk nie wyrzuca, choć zdarza się, że tu i ówdzie ktoś nie płaci czynszu regularnie.

Większość z nas mieszka w osiedlach spółdzielczych i w ogóle nie ma pojęcia, co to, lub kto to jest g o s p o d a r z. Nie myślę oczywiście o gospodarzu domu, którą to dumną nazwę nosi dozorca. Ale dozorca to brzmi fatalnie, a gospodarz domu — dumnie. A my lubimy nazwy dumne, chociaż poza dumą treści w nich raczej mało. Więc nie o takiego gospodarza domu mi chodzi. Gospodarzem w dawnym pojęciu jest a d m i n i s t r a c j a. Tylko to znów inne pojęcie. Co innego bowiem a d m i n i s t r o w a ć a co innego gospodarować. W tym pierwszym przypadku oznacza kierowanie, w tym drugim działanie we właściwy sposób, w szerszym sensie, dokładniej. Administrator jest z natury kims obcym, kimś, kto tylko sprawuje funkcje gospodarza. Gospodarz — w pojęciu tym zawiera się cała odpowiedzialność za to, co się posiada i czym się zarządza. Skoro jednak dano nam administratorów zamiast gospodarzy, a gospodarzy zamiast dozorców, niech więc tak już będzie.

Nicch mi jednak wolno będzie wyrazić mój punkt widzenia na administrację osiedla. To coś takiego jak zbiorowy „gospodarz". Bez wątpienia jest to jednak u r z ą d. A do urzędów mamy na ogół określony stosunek i to niezbyt przychylny. Chciałbym jednak, aby taka administracja osiedla była nam gospodarzem, aby się interesowała tym, czego nam brak, jakie mamy życzenia, pragnienia, że już nie wspomnę o marzeniach.

Kiedy na przykład u sąsiada na górze pęka balkon i w czasie deszczu woda mi leje się do mieszkania przez sufit, pędzę do administracji i melduję z rozpaczą o powodzi jaka mnie naszła. A wiosnę mamy raczej mokrą, więc i perspektywa niemiła. Kto lubi niemiłe perspektywy. W administracji spokojnie mi mówią: — Postaramy się panu jakoś pomóc, jak tylko... dostaniemy cement. A chciałbym, żeby gospodarz, przepraszam, pan administrator przyszedł do mnie, popatrzył, pokiwał głową, pocieszył, wyjaśnił, dlaczego z zewnątrz bloki piękne a w środku sama fuszerka. U sąsiada ściana wylatuje. Żeby zapewnił, że już, że jutro, że natychmiast, że tylko moja sprawa jest najważniejsza, choć obaj wiemy, że tak nie jest, bo on ma na głowie całe osiedle, a ja jakieś tam biuro, jemu żona choruje, a mnie... Zresztą mniejsza o szczegóły.

Nic z tego. Rzeczywistość jest brutalna. Administrator człowiek realny i w bawełnę nie owija. — Nie ma cementu — powiada — trzeba czekać, a jak będzie ciekło, to niech pan wiaderko postawi.

Wygasili ogrzewanie centralne i natychmiast w części osiedla zginęła ciepła woda. No to wszyscy pędem do administracji — Dobrze — mówią hydraulicy — coś zaradzimy. Ale nie zaradzili. Z kranu, z którego powinna ciec gorąca woda, ciecze coś co przypomina wodę pokojową, kiedy w pokoju jest 25 stopni C ciepła, ale w pokoju jest ledwie 16 stopni ciepła. A człowiek płaci za wodę gorącą. Umyć się nie może, chodzi z brudną głową, naczynia nie ma w czym umyć. Klnie i biega do administracji. A pan hydraulik mówi: — Ja już nic na to nie poradzę. Robiliśmy co mogliśmy, więcej nie możemy. Wezwaliśmy fachowców z Zakładu Sieci Cieplnej, ale oni nie mają czasu. Ludzie już do telewizji napisali, jak telewizja przyjedzie i pokaże, to wreszcie może pomoże. Ba! Do tej pory nie wiedziałem, że red. Michał Walczak i jego ludzie administrują osiedlami. Gratuluję! Telewizja wszystko może.

W radiu Zofia Jeżewska mówiła o Januszu Głowackim, że u niego pod maską brutalności i cynizmu kryje się dusza poety. Wcale nie chcę, aby w administratorze pod maską biurokraty kryła się duszą marzyciela, subtelnego estety, człowieka o sercu anioła. Może byśmy kiedyś wspólnie ponarzekali, to teraz takie modne, rozładowuje napięcia i stany frustracji. W każdym razie twardy realista nie bardzo mi odpowiada. Podejrzewam bowiem, że on mnie i całe osiedle ma w nosie, że interesuje go tylko sprawozdawczość, aby procentowo dobrze wypaść w rubrykach 7 i 13, gdzie uwidacznia się ilość zgłoszeń i ilość spraw załatwionych. A gdzie stosunek człowieka do człowieka?

Ja wiem, że każdy administrator też ma swój punkt widzenia. I to różny od mojego. Ale bardzo proszę Wielkiego Administratora, szefa wszystkich administratorów, aby nie wymyślił urzędu zastępcy do spraw stosunków człowieka do człowieka. Bo nie o to chodzi.

MARCIN RODAK

KIEDY WAKACJE?

Jedni hodują kaktusy, drudzy gołębie (rzadkie już to hobby, bo rzeczywiście trudno sobie wyobrazić mieszkańca łódzkiego Manhattanu jak na dachu swojego wieżowca wywija patykiem ze szmatką), inni jeszcze skalary i gupiki (ale à propos: prawda, że dwójka dziecięcych bohaterów francuskiego filmu „Dokąd płyną złote rybki" dała koncert aktorskiej naturalności?). Landru z filmu Chabrola, rozgrzeszony ofiarami wojny, stał się pasjonatem zbrodni, pieniędzy i kobiet („Co te idiotki widziały w tym obleśnym typie?" — dziwowały się panie podczas niedzielnego spaceru). Z kolei, kawalerzysta z filmu „Milady" (takoż produkcji francuskiej) poświęcił wszystko, łącznie z życiem, dla konia. Jak z tego widać, rozmaite, bezkrytyczne pasje mogą niekiedy okazać się niebezpieczne. Dlatego też swoje hobby traktuję w miarę racjonalnie i raczej wstydliwie. Nawet teraz, pisząc o nim, zastanawiam się czy nie postępuję nazbyt ekshibicjonistycznie. Ci, którzy oglądali czwartkowy recital Marie Laforet (jej piosenki to moje hobby!), łatwo mnie zrozumieją.

Marie Laforet — jak powiedziałby Lucjan Kydryński — to ekstrakt francuskiego ésprit, uroku i poezji. Jej piosenki zaprezentowane w programie na poły improwizowanym (przez to naturalnym), na poły prowadzonym wedle ściśle przygotowanego scenariusza, mogą stanowić wzór dla twórców telewizyjnych estrad. Rozczuliłem się tym bardziej, iż przed audycją Barbara Pietkiewicz i Jerzy Gruza nie próbowali mnie przekonywać, iż za chwilę zobaczymy piosenkarkę dorównującą talentem Alicji Majewskiej. Nie chciałbym odbierać chleba disc-jokeyom (zresztą, jak sądzę, piosenki Marie Laforet są dla dyskotek zbyt mądre), dlatego też dla porządku dodam, iż recital ten można traktować jako historyczny: świetna Laforet już przed wieloma miesiącami rozstała się z estradą. TvP nadała ów recital w późnych godzinach nocnych. W tym przypadku naszych programistów łatwo zrozumieć: piosenkarka w czasie występu paliła jednego papierosa za drugim, a tu przecież akcja „tydzień bez papierosa", rozmaite horrory o nowotworach etc. „Dziś serdecznie witam panie, będę właśnie mówił o raku piersi" — zalecał się z uśmiechem pan doktor w jednej z audycji „Lekarz radzi".

Piszę o francuskich produkcjach, bo rzeczywiście ostatni tydzień w TvP miał wiele nadsekwańskich akcentów (czyżby rewanż za Cannes i za sukcesy polskiego kina szeroko rozreklamowane przez Jacka Fuksiewicza i Bolesława Michałka? — ich rozmowę z Jerzym Płażewskim nadano aż dwukrotnie), łącznie z turniejem Roland Garros. Biedny Bohdan Tomaszewski — zawsze pełen entuzjastycznych zachwytów pod adresem Wojciecha Fibaka — tym razem, podczas relacji z półfinału debla, stracił kontenans: nie przewidział fatalnych zagrań polskiego mistrza rakiety. Tracił kontenans również Wowo Bielicki, który gościnnie towarzyszył prezenterom „Studia 2". Jak widać, niełatwa to rola i nie każdy może jej sprostać. Proszę panów, gdzie Bożena Walter?

„Księżycowe nagietki". Najlepsza amerykańska sztuka teatralna z 1966 roku, napisana przez Paula Zindela, a wyreżyserowana sugestywnie przez Adama Kotkowskiego stanowiła najświetniejszy punkt programu ostatniego tygodnia. Wprawdzie nie przepadam za literaturą amerykańską (tu nieliczne wyjątki), bo drażni mnie jej — by tak określić — konceptualizm (zderzenie naturalistycznych realiów codzienności z naiwną w ideowym efekcie metaforą — tu te „bezbronne nagietki"), ale ta sztuka obroniła się bardzo dobrym aktorstwem, naturalną inscenizacją, zwartością dialogów i równie dobrą scenografią. Był to jeszcze jeden przykład, że najlepsze efekty w działalności poniedziałkowego (nie tylko) teatru telewizji dają prace reżyserów nie obciążonych konwencją teatru żywego planu.

Dużo lepszym od poprzedniej premiery Teatru Sensacji był spektakl (według Anthony Shaffera) pod tytułem „Detektyw" przygotowany przez Andrzeja Chrzanowskiego. Choć i w czwartek, kiedy nadano ów program, wielu widzów odchodziło od telewizorów sfrustrowanych i rozczarowanych. Rzecz była przecież zabawą, kryminałem w cudzysłowie, sensacją z ironicznym podtekstem. Czy rzeczywiście „prawdziwy" kryminał tak trudno zrobić. Porównując obie dotychczasowe premiery można domniemywać, iż Michał Jagiełło nazbyt się dystansuje wobec literatury popularnej, oddając ją całkowicie producentom zachodnioeuropejskich i amerykańskich seriali.

W sumie jednakowoż TvP staje na wysokości swoich zadań. Za kilkanaście dni wakacje, kanikuła i ogórki a telewizyjna maszynka pracuje wciąż tym samym rytmem, co więcej, jakby zwielokrotniła swój codzienny montaż atrakcji. Proszę oto „Dwójka dla drugiej zmiany — premiery dnia", mistrzostwa Europy w piłce nożnej, niedługo olimpijski maraton itd. itd. Ci, którzy myślą poważnie o wyjeździe na urlop, niechaj przestaną czytać zapowiedzi programowe TvP. Mimo wszystko i od telewizji należy odpoczywać.

GRZEGORZ GAZDA

1/3 mini magazynek

Familijny nastrój

Familijny nastrój panuje na trybunie stadionu „Włókniarz" w Pabianicach podczas zawodów sportowych. Dzieci biegają przed trybuną, na trybunie rozrabiają pijacy. Nikt nie zważa na to, że na trybunę wstęp powinni mieć zasłużeni działacze sportu miejscowi notable oraz inne dostojne osoby. „Życie Pabianic" kategorycznie domaga się zaprowadzenia porządku przed i na trybunie stadionu „Włókniarz" w Pabianicach.

K. I. Bic

Trzecia płeć?

Ogłoszenie w „Dzienniku Popularnym": „Przyjmę kobietę i mężczyznę oraz traktorzystę w średnim wieku".

Oczekujemy wyjaśnień od Związku Zawodowego Pracowników Rolnych.

(K)

Donosy rzeczywistości

Po ulicach Łodzi krąży granatowa limuzyna, Fiat 132 P (!) (nr rej. LDN...) z dyskretnym napisem „Pogotowie techniczne — Chemitex — Aniliana".

W związku z tym nasuwają się trzy pytania:

1. skąd zakład wziął dewizy na zakup samochodu;

2. jak luksusowe auto udało się zarejestrować w Wydziale Komunikacji UM;

3. kto do jakich celów naprawdę eksploatuje „pogotowie techniczne", w podwójnym cudzysłowie.

(J)

Z KÓŁ DOBRZE POINFORMOWANYCH

donoszą, że lato jednak będzie w tym roku. Dokładnie nie wiadomo kiedy.

TO i OWO

W „SZPILKACH"

Jerzy Urban zaproponował wynalezienie wódki w pastylkach. Na gorzelnie padł popłoch. Szczególnie na gorzelnie... prywatne, chałupnicze, rzemieślnicze, chłopskie, miejskie i domowe.

Z PIOTRKOWA TRYBUNALSKIEGO

nadeszła wiadomość o powołaniu tam oddziału katowickiej gazety „SPORT". Oddział ten zlokalizowano w pomieszczeniach trybuny głównej, jego „załoga" składać się będzie z jednego człowieka, red. Paulina Płomińskiego, ale nazwa jest na wyrost.

W RADOMIU

głośna była afera maturalna. Na szczęście wykryto ją w porę i zmieniono tematy maturalne, nie trzeba więc było powtarzać matur. Wykryto również sprawcę. Tematy maturalne odczytał on z kalki maszynowej, którą użyto do ich przepisywania. Ślady nawet pożytecznej działalności trzeba niekiedy zacierać.

MUSIMY ROZCZAROWAĆ

Musimy rozczarować (jb) z „Dziennika Popularnego" oraz (hosz.) z „Expressu Ilustrowanego", ale na jubileuszu Mariana Piechala zebrani n i e „wysłuchali także recitalu wierszy M. Piechala", jak tego chce (jb) z „DP", ani tym bardziej „Recital jego wierszy (n i e) dopełnił uroczystość" (cytat jest dosłowny), jak tego chce (hosz.) z „EI". Po prostu mimo wcześniejszych zapowiedzi tej części programu nie było.

Wniosek Najlepiej jednak bywać na uroczystościach, które się później opisuje.

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

FRASZKA SZEKSPIROWSKA

STRACONE ZACHODY MIŁOŚCI

Gdybyż można było stracone zachody,
odzyskać po cenach stoisk „Polskiej Mody"?!

Rys. Edward Bogdański

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44, sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1355. G-2.